

Jerry Ahern

Poszukiwanie

Krucjata 3

Przełożyła: Barbara Miruszewska

Jerry Ahern

Poszukiwanie

Krucjata 3

Przełożyła: Barbara Miruszewska

Dla Leslie – najwspanialszej czytelniczki książek!

Rozdział I

„Sarah, Michael, Ann... żyją. Boże!” – myślał Rourke. Szedł szybko przez las, zostawiając w tyle zgliszcza swego domu. Kartka, którą Sarah przybiła na drzwiach stodoły, tkwiła teraz w jego portfelu. Ale do czego potrzebny mu był teraz portfel? Prawo jazdy, legitymacja ubezpieczeniowa, zezwolenie na broń... Szedł dalej, z Pythonem w skórzanym futerale na prawym biodrze, z dwoma pistoletami typu Detonics pod kurtką, coltem CAR-15 w kaburze pod prawym ramieniem.

Prawie wszystko, co miał teraz w portfelu, wydało mu się bezużyteczne. Banknot studolarowy z patrzącym zagadkowo Franklinem, karta CIA, karty kredytowe. Jediną rzeczywiście ważną rzeczą było zdjęcie żony – Sarah, syna Michaela i córki Ann. To zdjęcie i świstek papieru z nabazgraną wiadomością były dla niego jedynymi realnymi rzeczami od wybuchu wojny. Spojrzał w górę, na niebo i poprawił się: gwiazdy również były rzeczywiste i ziemia pod nogami – ale jak długo jeszcze – nie wiedział. Dziwne chmury kłębiły się na nocnym niebie, zachody słońca co wieczór stawały się bardziej czerwone, pogoda wyraźnie się zmieniała. Ile pocisków zostało wystrzelonych, ile bomb zrzuconych tamtej, pierwszej nocy III wojny światowej? „Tak – pomyślał – będzie to najprawdopodobniej ostatnia wojna w dziejach Ziemi”.

Zatrzymał się i znów spojrzał w górę. Niebo intrygowało go. Kiedy studiował medycynę, interesował się tym, co pobudza człowieka do życia. Później, w tajnych służbach CIA, zajął się czymś zgoła przeciwnym – zabijaniem. Nie stałby się przecież ekspertem od broni palnej przez zwykły przypadek czy na korespondencyjnym kursie. Później, jako ekspert od spraw przeżycia, zajął się znów tym, jak utrzymać pracę organizmu w trudnych, nietypowych warunkach. Paląc cygaro zastanawiał się, czy Sarah i dzieci też patrzą na gwiazdy tej nocy. Czy gdzieś istnieje jeszcze zdrowy rozsądek? Czasami żałował nawet, że on, Rourke, jest zupełnie normalny i zdrowy na umyśle – przez to było mu ciężiej.

Pomyślał o Paulu Rubensteinie, młodym żydowskim chłopaku z Nowego Jorku, lub raczej miejsca, które kiedyś było Nowym Jorkiem. Paul tak bardzo różnił się od niego: nigdy nie jeździł na motorze, nigdy nie strzelał. Rourke uważał go za swego największego sprzymierzeńca i przyjaciela.

John nie lubił jeździć motocyklem w ciemności. Jego Harley Low Rider był w doskonałym stanie, ale Rourke przyzwyczał się jeździć w goglach, a teraz miał tylko okulary przeciwsłoneczne. Spojrzał na zegarek. Świetlista, czerwona tarcza wskazywała 6.30. Na horyzoncie zauważył czerwonawą linię, nad nią kłębiły się gęste, białe chmury. Pył radioaktywny? Przypomniał sobie, że musi sprawdzić licznik Geigera przymocowany do motoru. Drugi licznik zostawił Paulowi.

Był już kilka kilometrów od miejsca, gdzie ukrywał się ranny Paul, doskonale uzbrojony: „Schmeisser”, browning typu High Power oraz karabin Steyr Mannlicher.

Obserwował horyzont. Słońce migotało za czerwieńjącymi chmurami. Ta czerwień niepokoiła go. Poczuł nagły ścisk w żołądku: jak potoczy się życie, gdy znajdzie już Sarah, Michaela i Ann? Czy zawsze już będą żyć w jego kryjówce, jak pierwotni ludzie? I w jakim świecie będą dorastały dzieci?

Rourke wyobraził sobie, jak mówi któregoś dnia do syna:

– Michael, zostawiam ci opustoszałe i skażone tereny, na których nic nie wyrośnie przez wieki. Skażoną wodę, której nie można pić, zatrute powietrze, którym nie można oddychać, ostatni ocalony egzemplarz Encyklopedii, bo nie ma już nikogo, kto napisałby nową. Zostawiam ci też wspaniałą znajomość języka, ale nie masz, niestety, do kogo mówić. Oto super motocykl – brakuje jednak benzyny. Masz tu zestaw najlepszych pistoletów, jakie dotychczas wyprodukowano, ale skończyła się amunicja. Ptaki i pszczoły, o których ci kiedyś opowiadałem, już wymarły. Jeśli znajdziesz kiedyś dziewczynę, która nie stała się jeszcze morderczynią ani nie wpadła w obłąd, możecie przedłużyć istnienie gatunku ludzkiego. Chociaż z pewnością będzie on ohydnie zdeformowany...

Popatrzył na wschód słońca. Czy będzie jeszcze następny? Słońce wschodziło, bo Ziemia obracała się, ale gdy się zatrzyma? Pomyślał o tym, jak zakończy swoją wypowiedź do syna, gdy ten osiągnie już wiek dojrzały:

– Baw się dobrze...

Rourke zatrzymał motor. Szarość na wschodzie kontrastowała z kolorem horyzontu, mgła o lekko zgniłym zapachu układała się faliście nad ziemią. Nagle usłyszał strzały. Zgasił silnik, przełożył colta CAR-15 do prawej ręki, zacisnął palce, zsiadł z motoru i ukrył się za drzewem. Przed nim rozciągała się płaska równina, a dalej skupisko skał, gdzie ukrywał się Paul. Odgłos strzałów stawał się coraz wyraźniejszy. Ujrzał zbliżające się postacie – kilkunastu mężczyzn, uzbrojonych, brudnych i najwyraźniej – wyczerpanych.

Posuwali się powoli w kierunku skał. Strzelali, a Paul odpowiadał im ogniem. Twarz Rourke'a rozjaśniła się w uśmiechu.

– Zaraz was dopadnę – wyszeptał do siebie.

Rozdział II

Rourke przysunął motocykl do drzewa. Na polanie, jakieś dwieście metrów dalej, zauważył pięć odkrytych ciężarówek różnego typu. „Transport bandytów” – pomyślał. Oszacował sytuację. Gdyby od razu zaczął strzelać, wywiązałyby się przewlekła bitwa, trwająca godziny, a może nawet dni, zwłaszcza że w pobliżu mogli być inni bandyci, którzy przybyliby na pomoc.

John znajdował się na lekkim wzniesieniu. Patrzył w dół na płaską przestrzeń dochodzącą do skał, gdzie ukrywał się Paul. Dojrzał go przez lornetkę: leżał z karabinem przy ramieniu. Nie mogli go trafić. „Gdyby podzielili się na dwie grupy – pomyślał – strzelającą i manewrującą, szybko nieszkodliwiliby Paula”. Na szczęście ich taktyka nie była tak dobra.

Przerzucił przez plecy karabin, przesunął się na skraj wzniesienia, potem między sosnami i niskimi skałkami zbliżył się do bandytów. Najbliższy z nich – wysoki, mocno zbudowany, uzbrojony w jakiś automatyczny pistolet (Rourke nie mógł rozpoznać z dużej odległości) próbował zbliżyć się do Rubensteina, biegnąc zygzakiem wzdłuż skał. Rourke postanowił zająć mu drogę. Wyciągnął czarny, chromowany, dwustronny nóż. Podczas kolejnej serii ognia Rourke podbiegł nie zauważony parę kroków do przodu, rzucając się z impetem na wysokiego mężczyznę. Głowa tamtego uderzyła o skały. Rourke zamierzył się nożem i wbił krótkie ostrze w szyję. Ciało osunęło się na ziemię. John rozejrzał się wkoło – nikt go nie zauważył. Wypatrzył więc następny cel: wysokiego, kościstego mężczyznę z długimi blond włosami i postrzępioną brodą. Wytarł krew z noża w spodnie zabitego i ruszył.

Cel był jakieś dwadzieścia pięć metrów przed nim. Odczekał do następnej serii strzałów, przeskoczył niską bryłę skalną i przywarł do pnia sosny. Po chwili rzucił się na upatrzonego mężczyznę, przyduszając go do ziemi. Lewą ręką chwycił za tłuste włosy, odchylił mu głowę i przejechał nożem po odsłoniętym gardle. Głowa opadła na skały. Wycierając nóż o ubranie zabitego, dostrzegł następny cel. Ilu z nich załatwi jeszcze, zanim któryś odwróci się i dostrzeże go?

Posuwał się w stronę czarnego, barczystego mężczyzny, trzymającego automat w lewym ręku. Zbliżył się na jakieś dziesięć metrów, poczekał do kolejnej serii strzałów i ruszył. Mężczyzna odwrócił się nagle i uskoczył, ale lewa ręka Rourke’a przygwoździła go do ziemi. Tamten próbował krzyknąć, ale ostrze noża przecięło mu szyję. Padł do tyłu, nie wydając dźwięku. Ciało stoczyło się ze skał.

Rourke instynktownie odwrócił się i zobaczył, że jeden z bandytów przymierza się do strzału. Rzucił nóż, błyskawicznie wyjął Detonicsa spod lewego ramienia i strzelił, trafiając w sam środek czoła.

Następnie sięgnął po nóż rzucony w trawę, oczyścił go i schował. Zaczął się wspinać po skalnym

zboczu. Bandyty skierowali ogień w jego stronę. Skrył się za skałą. Gdzieś z góry słyszał terkot dziewięciomilimetrowego karabinu Rubensteina. Wyjął colta CAR-15, odbezpieczył i wystrzelił parę razy. Bandyty cofali się. Ruszył w ich kierunku. Kątem oka zauważył Rubensteina schodzącego powoli i niezgrabnie w dół. Pistolety w obu rękach Paula pluły ogniem. Bandyty nadal strzelali, próbując przedostać się do ciężarówek. Rourke podniósł colta CAR-15, wycelował, ale magazynek był już pusty. Wyszarpnął z kabury sześciocalowego Pythona, strzelił i jeden z uciekających padł z rozpostartymi rękami. Wycelował znów, wypalił i trafił drugiego. Gdy opuścił broń, dostrzegł, że ostatni bandyta chwieje się, przyciskając dłonie do pośladków, próbuje zrobić krok, aż w końcu pada.

Paul Rubenstein zbliżył się do Rourke'a. Twarz miał mokrą od potu.

– Strzeliłeś mu w plecy. Rourke westchnął i powiedział:

– Tylko dlatego, że była to jego najlepiej wyglądająca część ciała.

Rozdział III

Sarah Rourke zeskoczyła z konia, trzymając luźno lejce. Spojrzała na ogrodzenie z worków wypełnionych piaskiem, otaczające farmę. Odwróciła głowę.

– Michael, Annie i ty, Millie – zostańcie tutaj. Pójdę zobaczyć, czy tam ktoś jest.

Potem dodała, patrząc na dziesięcioletnią Millie Jenkins:

– Zobaczę, Millie, może ktoś zna twoją ciotkę i powie, jak odnaleźć jej farmę.

Ruszyła w stronę domu, wycierając spocone dłonie o dżinsy. Zbliżyła się do worków z piaskiem, prowadząc Tildie za sobą. Kobyła zarżała. Sarah zostawiła przy siodle pistolet, który zabrała jednemu z bandytów. Miała jeszcze colta, schowanego za pasem spodni i zasłoniętego niebieską bluzką. W górach Tennessee było dość chłodno, ale pociała się. Zdjęła z głowy niebiesko-białą chustkę i poprawiła zburzone, ciemne włosy.

Na farmie nie zauważyła żadnego znaku życia. Dom wyglądał zupełnie zwyczajnie i dlatego chyba zatrzymała się właśnie przy nim. Błądziła z dziećmi po górach przez kilka dni, próbując znaleźć „ciotkę Mary” i oddać jej Millie Jenkins. Ciotka Mary była siostrą matki Millie.

Sarah nie miała pojęcia, jakie panieńskie nazwisko nosiła Carla Jenkins. Możliwe zresztą, że ciotka Mary była już zamężna. Wszystko, co pamiętała Millie z dawnego pobytu na farmie ciotki, to dom położony w dolinie, ogromne pastwisko oraz to, że ciotka Mary hodowała róże.

Zatrzymała się i oparła rękę na jednym z worków. Na podwórzu parkowało pięć odkrytych ciężarówek. Potem popatrzyła uważnie na dom. Okiennice były zamknięte.

Sarah poczuła się nieswojo. Wyjęła spod bluzki colta, odbezpieczyła go i wsunęła z powrotem za pas. Zrobiła to za osłoną worka z piaskiem, na wypadek, gdyby obserwował ją ktoś z wnętrza domu.

Wspięła się na jeden z worków, by lepiej widzieć, potem podniosła rękę i zawołała z całej siły:

– Halo! Jest tam kto? Chcę o coś zapytać!

Nie było odpowiedzi. Pomachała biało-niebieską chustką i krzyknęła jeszcze raz:

– Halo! Chcę tylko o coś zapytać!

Drzwi uchyliły się i na ganku stanął wysoki, brodaty mężczyzna z pistoletem w ręku. Zbliżył się do schodków i wrzasnął głośno:

– Nie chcemy tu żadnych obcych! Wynoście się stąd!

– Widzi pan, mam tu troje małych dzieci. Niczego nie chcę, potrzebuję tylko pewnych informacji...

– Wynoście się! – mężczyzna odwrócił się i zamierzał wejść do domu.

Przeżycia ostatnich dni: strach, samotność, nagromadzone napięcie, wszystko to musiało w końcu znaleźć ujście. Nie mogła powstrzymać łez.

– Proszę! Na miłość boską!

Mężczyzna zrobił jeszcze krok lub dwa, potem jednak odwrócił się w jej stronę.

– Tam jest brama, idźcie w tamtą stronę – pokazał ręką. – Nie chcę was tu widzieć!

Oparła się ciężko o ogrodzenie, spojrzała na dzieci i nagle poczuła się bardzo zmęczona.

Rozdział IV

– Wszędzie pełno bandytów – powiedział Rourke, mrużąc oczy w jasnym, porannym słońcu.

– Myślisz, że znaleźli twoją kryjówkę, John? – zapytał Paul Rubenstein. Okulary w drucianej oprawce zsunęły mu się, twarz błyszczała od potu.

Rourke pomyślał chwilę i odparł:

– Nie, na pewno nie. Może archeolodzy odkryją ją za tysiąc lat, ale teraz – nikt! Problem w tym, czy... – Rourke popatrzył na ciała zabitych i zamyślił się.

– W czym problem, John?

Rourke zapalił cygaro, zastanawiając się, na jak długo wystarczy zapas przechowywany w kryjówce.

– Myślę o świecie... Oglądasz wschody i zachody słońca, zmiany pogody, deszcze, wiatry. Jeśli to wszystko ocaleje, to co będzie dalej? Czy odbudujemy świat? Jest tyle pytań, tyle trudnych pytań...

Rourke zamyślił się. Rozładował broń, wyrzucił zużyte naboje.

– Ale – westchnął – gdy wyrzuci się z siebie całą gorycz i frustrację, jest łatwiej.

Ruszył w kierunku skał, gdzie poprzedniej nocy ukryli motocykl Paula. Spieszył się. Wiedział, że pokonani bandyci mogli być częścią znacznie większej, uzbrojonej grupy, która mogła nadejść w każdej chwili. To byłoby mu bardzo nie na rękę. Był już tak blisko swojej bezpiecznej kryjówki. Chciał dalej szukać Sarah, nie mógł marnować czasu na bezsensowną strzelaninę. Ostatnio nie myślał prawie o niczym innym, jak tylko o odnalezieniu swojej rodziny. Wierzył, że przeżyli. Wsiadł na motor, rozejrzał się po okolicy. „Jeśli Sarah z dziećmi znajduje się gdzieś w górach północnej Georgii, trudno będzie ich odnaleźć – pomyślał. Może równie dobrze być w Georgii, jak w Karolinie, albo może w Tennessee.” Znalezienie kobiety z dwojgiem małych dzieci w kraju pełnym uciekinierów nie było proste. Cała jego środkowa część była radioaktywną pustynią. Prawo nie istniało. Rosjanie, bandyci – kto wie, co planowali? Rourke włączył silnik i ruszył ścieżką w dół.

Rozdział V

„Nigdy nie powinni widzieć mnie przygnębitego” – myślał Władimir Karamazow, major KGB. Stał przy wyjściu z wojskowego samolotu, wciągając w płuca rzeńskie powietrze Chicago. Tuż przy schodkach prowadzących z jeta czekał jego służbowy samochód. Szofer stał obok wyprostowany i czujny.

Karamazow uśmiechnął się i zwinnie zbiegł po schodkach. Podał teczkę szoferowi, ten odebrał ją i zasalutował.

– Dobry wieczór, towarzyszu majorze.

– Dobry wieczór, Piotrze – odparł nie patrząc na niego. Jego uwagę zajmowały światła pola startowego. Przybywało wojskowych transportów. Po ucieczce nowego amerykańskiego prezydenta, Samuela Chambersa oraz niebezpiecznym i żenującym epizodzie z Johnem Rourke i swoją własną żoną, Natalią, Karamazow zrewidował wcześniejsze poglądy co do pacyfikacji Ameryki po wojnie, którą jego kraj nominalnie wygrał. Przekonał się, że ma do czynienia z narodem dobrze uzbrojonych indywidualistów, których opór trudno stłumić.

Powinni byli uderzyć w prowincję, we wsie, a nie – bombardować wielkie miasta Ameryki. To dałoby lepszy efekt; łatwiej byłoby ujarzmić ludzi z dużych miast. Nie widział celu w bombardowaniu Nowego Jorku. Wszystkie bogactwa tej metropolii zostały stracone bezpowrotnie.

– Towarzyszu majorze, co nowego?

– Nic, Piotrze – odparł – właśnie rozmyślałem o sprawności, z jaką nasi przywódcy wprowadzają nowe wojska, żeby wspomóc pacyfikację Stanów Zjednoczonych. Na szczęście mamy takich odważnych i przewidujących ludzi. Prawda, Piotrze?

– Tak, towarzyszu majorze – odparł młody człowiek. Major KGB i kapral armii wpatrywali się w siebie przez chwilę. Karamazow zorientował się, że jego kierowca nie wierzy w tę bzdurę ani trochę bardziej niż on sam. Roześmiał się. Zbliżył się do cadillaca. Lubił amerykańskie wozy; były szybkie, czego nie mógł powiedzieć o radzieckich.

Rozpiął pas i rząd guzików, usiadł wygodnie i wydał krótkie polecenie:

– Do domu, Piotrze.

Czekając, aż samochód ruszy, przymknął oczy. W czasie jazdy zdrzemnął się i obudził dopiero wtedy, gdy samochód zwalniał przed ogromnym domem z niskim, obszernym gankiem. Do ganku prowadziła betonowa droga pomiędzy pasami zieleni, które były dawniej trawnikami. Karamazow pomyślał, że jest to zdecydowanie najlepszy z jego dotychczasowych domów. I do tego usytuowany w najbogatszej dzielnicy Chicago.

Wóz skręcił w betonową aleję. Nareszcie Karamazow miał trochę wolnych dni, po raz pierwszy

od czasu ucieczki Chambersa i Rourke'a z bazy w Teksasie. Pomyślał o swojej żonie. Wspomnienia odżyły.

Samochód stanął, Karamazow włożył czapkę czekając, aż szofer otworzy mu drzwi. „Czy Rourke kłamał? – pytał sam siebie. – Czy Natalia była jego kochanką?”

Wysiadł, w rozpiętym mundurze, z pasem przerzuconym przez ramię.

– Będę cię potrzebował o szóstej rano – rzucił kierowcy. – Przyjemnego wieczoru!

– Nawzajem, towarzyszu majorze.

– Zostaw bagaż na ganku. Możesz odejść, Piotrze. Karamazow nacisnął dzwonek. Czekał. Był

coraz bardziej wściekły na myśl o żonie. Wreszcie drzwi otworzyły się i usłyszał jej głos:

– Ach, to ty.

Karamazow zacisnął pięści. Wyobraził ją sobie z przymkniętymi oczyma. Była taka piękna: ciemnoniebieskie oczy, czarne włosy, gładka, alabastrowa skóra. A na dodatek była jedną z najlepszych agentek KGB; chłodna i oficjalna, ale jednocześnie ciepła i ludzka. Nawet wrogowie nie potrafili jej nienawidzić.

– Dobry wieczór, Natalio – Karamazow przyglądał się żonie.

Miała na sobie białą, koronkową suknię, jeszcze ze Związku Sowieckiego. Wyglądała na idealną żonę – elegancka, miła, poważna i skromna.

Natalia spuściła oczy i nic nie powiedziała.

– Jesteś dziś piękna jak zawsze – wyszeptał. Wszedł, zdjął skórzane rękawice i położył je razem z czapką i teczką na stoliku pokrytym skórą. Płaszcz przerzucił przez krzesło.

– Dasz mi drinka?

Bez słowa ruszyła w stronę kuchni. W swojej długiej, koronkowej sukni poruszała się płynnie i lekko.

Karamazow zdjął mundur i rzucił na fotel w salonie. Rozpiął guziki białej koszuli i automatycznie sprawdził, czy ma pistolet w lewej kieszeni spodni. Odwrócił się, gdy Natalia wróciła z kuchni z tacą, na której stała butelka wódki i szklanka.

– Zawsze sumienna i uczynna – rzekł z ironią, gdy Natalia nachyliła się nad niskim stolikiem, by postawić tacę.

– A ty nie wypijesz?

– Nie – powiedziała cicho.

Chwycił ją za ramiona i przyciągnął do siebie. Włosy opadły jej na czoło, odchyliła głowę, aby odrzucić je z twarzy. Karamazow prawą ręką ścisnął jej białą, smukłą szyję.

– To boli – powiedziała spokojnie, ale on roześmiał się.

– Jesteś ekspertem od sztuki walki. Nie umiesz mnie powstrzymać? – zapytał i puścił ją. Nalał sobie wódki i wypił od razu pół szklanki.

– Chcę, żebyś napiła się ze mną.

– Nie będę piła.

Chwycił ją za kark i brutalnie odchylił głowę. Przytknął jej szklanekę do ust i wlał wódkę. Płyn ściekał po twarzy, Natalia zakrztusiła się. Kiedy zwolnił uścisk, wytarła ręką usta i siadła na brzegu kanapy. Spojrzał na nią.

– Piłaś z nim? Rourke pewnie wolał amerykańską whisky niż rosyjską wódkę?

Podniósł się, znów nalał sobie wódki i przez chwilę oglądał przejrzysty płyn. Potem nagle uderzył ją w policzek.

– Nie zdradziłam cię – powiedziała patrząc mężowi w oczy.

– Ale chciałeś to zrobić! – wrzasnął i uderzył ją pięścią w twarz, wylewając sobie resztę wódki na koszulę.

Rozdział VI

Warakow oglądał szkielety mastodontów niezmiennie od trzech tygodni, odkąd Sowieckie Dowództwo Sił Zbrojnych w Ameryce Północnej ulokowało się w dawnym muzeum. Generał Warakow przyzwyczał się do tych wymarłych olbrzymów. Wyobrażał sobie czasem, że widzi szkielety niedźwiedzia lub orła i zastanawiał się, czy te zwierzęta też już wyginęły. Spojrzał w okno. Lubił ciemność, była spokojna, kojąca.

– Towarzyszu generale.

Odwrócił się od barierki i uśmiechnął do młodej sekretarki.

– Są już?

– Tak, towarzyszu generale.

Spojrzał na swój rozpięty mundur, ale nie zapiął guzików. Był generalnym dowódcą i w promieniu tysięcy mil nie było nikogo, kto mógłby mu rozkazywać.

Odwrócił się, żeby spojrzeć jeszcze na mastodonta. Choćby nic pozytywnego nie wynikało z tej wojny, on przynajmniej odwiedził dobrze to muzeum. Kiedyś służył jako doradca w Egipcie, ale tam nawet nie widział takich skarbów przeszłości. „Wreszcie znalazłem sobie dom, jaki lubię” – myślał idąc przez hall.

– Tu, wśród prehistorycznych okazów – dodał głośno. Przeszedł obok człowieka z epoki kamiennej, malajskiej kobiety i Buszmena uzbrojonego w pistolet pneumatyczny. Wszedł do biura. Oficerowie siedzieli półkołem przy jego pustym biurku. Popatrzył na nich, uśmiechnął się i rzekł:

– Nie wstawajcie, nie ma potrzeby.

Okrążył biurko, usiadł na krześle, pochylił się i zdjął buty.

– Wszyscy zdajemy sobie sprawę – zaczął – że całkowita militarna okupacja Stanów Zjednoczonych jest obecnie niemożliwa. Niektóre istniejące jeszcze jednostki wojsk amerykańskich, brytyjskich, niemieckich i paru innych wciąż utrudniają życie naszym żołnierzom w Europie. Chiny pilnują dobrze swoich granic, my – swoich. Wojna lądowa z Chinami, panowie, byłaby szaleństwem. Jestem przekonany, że nigdy nie okupowalibyśmy Ameryki, gdyby nie fakt, że potrzebujemy tutejszego przemysłu. Zakłady przecież ocalały. Potrzebujemy broni, żywności, czołgów i chemikaliów. I to – uderzył pięścią w stół – jest naszą główną misją w Stanach Zjednoczonych. Podkreślam! Wiele raportów wskazuje na to, że dokonujemy raczej totalnej pacyfikacji Ameryki. To nie jest możliwe, przynajmniej obecnie!

Oparł się na krześle i przyglądał oficerom.

– Zająłem się osobiście szczegółami planu pacyfikacji. To plan osiągnięcia ograniczonych, realnych celów, towarzysze; wznowienie produkcji przemysłowej i ochrona przed sabotażem.

Skorzystam z doświadczenia ludzi, których próbujemy kontrolować. Podpisałem rozkaz zakładania militarnych placówek samowystarczalnych. Ma to być coś podobnego do amerykańskich fortów, znanych z filmów o kapitalistycznym wyzysku Indian.

Pochylił się i uważnie przyjrzał siedzącym mężczyznom.

– Nasze zadania są proste: zapobieganie tworzeniu się zorganizowanego oporu i ochrona ludności cywilnej. Powtarzam: trzeba chronić ludność cywilną. Grupy żądnych krwi bandytów grasują wszędzie, zabijając i plądrując, co się da. Musimy udowodnić cywilnej ludności amerykańskiej, że nie chcemy jej zagłady. Musimy bronić ludzi przed tymi bandytami. Jednocześnie musicie wiedzieć o tym, że niektóre z tych band mogą stać się jądrem, wokół którego skoncentruje się zbrojny opór. Gdy rozwinie się ruch oporu – a większość moich poufnych służb donosi, że to już następuje – musimy być zaangażowani w obronę Amerykanów przed tymi elementami kryminalnymi. Nie możemy pozwolić na to, by ruch oporu stał się powszechny i popularny, jak na przykład w Afganistanie.

Pierwszy zabrał głos jeden z oficerów, generał Nowostowski:

– Towarzyszu generale – uśmiechnął się i rozejrzał wokół. – My mamy bronić tych ludzi?

– Tak jest, Ilia. – Nigdy, przynajmniej... – zaczął mówić Warakow, patrząc cały czas poza głowy wojskowych na szkielety mastodontów. – Jeśli oni przekonają się, że są bezpieczni... – przerwał zauważywszy, że zgubił poprzedni wątek. Zamyślił się i po chwili zaczął mówić na nowo:

– Nigdy nie będą nas lubić, nie będą akceptować naszych rządów, ale jeśli sprawimy, że będą mogli na nas polegać – wygramy większą część walki psychologicznej. I dopóki walczą się te bandy, musimy martwić się o ludność cywilną. Te gangi awanturników są przeważnie dobrze uzbrojone i bezlitosne.

– To rozsądne, co mówisz, generale. Warakow skinął głową do starego przyjaciela – takie słowa były więcej warte niż oficjalna pochwała.

– Pierwsze forty będą założone w północno-wschodniej Georgii. Będzie to połączone z patrolowaniem Georgii, Karoliny i rozszerzy się do atlantyckiego wybrzeża.

– Florydę oddaliśmy... roześmiał się Warakow – z jej pożarami lasów, zmniejszającym się poziomem wód gruntowych, Kubańczykom. I jako naszym wiernym, lojalnym sojusznikom, życzymy im sukcesów w zagospodarowywaniu tych ziem!

Roześmieli się wszyscy, nawet zawsze pełna rezerwy sekretarka Warakowa. Gdy śmiech umilkł, Warakow znów zaczął mówić:

– Siedziba pierwszej placówki znajduje się na terenie jednego z najstarszych uniwersytetów. Nie możemy tam niczego zniszczyć. Jeśli okażemy respekt względem tego, co Amerykanie szanują, być może trochę tego respektu oni okażą nam.

Zwrócił się do sekretarki:

– Wezwij pułkownika Korcińskiego. Potrzebujemy go teraz.

Młoda kobieta wstała, przeszła do hallu i po chwili wprowadziła Wasylego Korcińskiego. Był to mężczyzna w średnim wieku, jasnowłosy, przystojny, może trochę zniewieściały. Tak oceniał go Warakow. Przejrzał jego tajne akta: kwalifikacje lotnicze, dwukrotnie ranny, żonaty, dwaj synowie bliźniacy, cała rodzina przeżyła i mieszka w Moskwie. To dobrze, pomyślał Warakow. Nie chciałby na dowódczym stanowisku człowieka, który szuka zemsty za osobiste krzywdy.

– Panowie! To jest komendant naszej pierwszej placówki.

Rozdział VII

Natalia zachwiała się pod wpływem ciosu męża i zobaczyła, że jego ręka znów zbliża się w jej stronę – dostrzegła zakrwawione palce. Próbowwała odeprzeć atak, ale uderzył ją w ramię lewą ręką a prawą pięścią w twarz. Padła w tył na kanapę, czując, że suknia podwija się do góry.

Poczuła napływające łzy. Potem skurczyła się, widząc jak rozpina pas. Karamazow podniósł butelkę wódki.

– Zdecydowałem, Natalio – rzekł drżącym z napięcia głosem.

– Musisz być moja, teraz. – Przechylił butelkę do ust i pił zachłannie. Pustą butelkę odrzucił za siebie. Roześmiał się i uniósł rękę. Natalia zamknęła oczy. Smagnął pasem po jej nogach. Wrzasnęła, skuliła się i przywarła do kanapy. Czowała piekący ból. Spróbował ją podnieść, wyrwała się. Cały czas unikała jego wzroku.

Niegdyś był dla niej jak ojciec. Później został jej kochankiem, jedynym, jakiego miała. Istniała między nimi przez lata silna więź duchowa. Teraz nie mogła patrzeć na niego.

Karamazow na przemian tłukł ją bez opamiętania i rwał z niej strzępy sukni. Skrzyżowała ręce na piersiach, zasłaniała się.

– Władimir, proszę cię... przestań...

– Nie – odpowiedział cicho, ledwo go usłyszała. Widziała, jak znów podnosi pas. Uderzył ją w brzuch. Zgięła się w wpół i upadła na dywan. Czowała teraz pas na plecach. Chwycił ją za włosy, przyciągnął do siebie, ledwo mogła oddychać.

– Nie będziesz ze mną walczyć! – warknął i ciał pasem po twarzy.

Sięgnęła ręką do policzka – krwawił; nie mogła otworzyć lewego oka. Pociągnął ją na kanapę.

Odłożył pas i zaczął rozpinać spodnie. Zsunął je, gdy znalazł się nad nią.

– Nie! Proszę, nie! – błagała.

Czowała jego ręce ugniatające piersi, wczepiające się we włosy na łonie.

– Nie – szepnęła Natalia. Potem poczuła twardość wbijającą się w nią. Krzyknęła, a potem leżała nieruchomo, wpatrując się w sufit. Łzy ciekły jej po twarzy. W końcu zszedł z niej i usłyszała, jak mamrocze:

– Suka. Suka bez serca. Zatłukę cię!

Uderzył ją pięścią w twarz. Usta jej krwawiły, próbowała unieść głowę, żeby nie zachłysnąć się krwią.

Władimir, chwając się, sięgnął po butelkę. Odrobina wódki była jeszcze w środku. Przechylił butelkę do ust. Wypił. Uśmiech, jakiego nigdy przedtem u niego nie widziała, wykwitł mu na ustach, gdy podniósł znowu pas. Ciężki cios prawie natychmiast wywołał ciemnoczerwoną pręgę na jej

piersiach. Pchnął ją na kanapę, trzymając wciąż butelkę. Przybliżył ją do Natalii.

– Jeśli ja nie sprawiłem ci przyjemności, może ona to zrobić.

Kobieta jęknęła, przełknęła słoną krew; opuchnięte usta wykrzywiły się w rozpacz.

Rozdział VIII

– Nie wiem – rzekł Rourke nie patrząc na Rubensteina. Wciąż obserwował gwiazdy. Byli już niecałą milę od głównego wejścia do kryjówki.

– Czasami masz uczucie, że coś się dzieje. Nie wiesz, gdzie ani co, ale wiesz, że ciebie w jakiś sposób dotyczy i któregoś dnia dowiesz się, co to było. Takie uczucie działa jak zimny prysznic na twoją głowę...

– Co masz na myśli? – zapytał Paul Rubenstein zmęczonym głosem.

– Chodźmy – Rourke uśmiechnął się lekko. – Już niedaleko – popatrzył na Paula. Widać było, że Rubenstein był wyczerpany długą drogą, dokuczwały mu nie zagojone jeszcze dokładnie rany.

Prowadzili motory wąską ścieżką pod górę. Rourke rozpoznawał znane punkty – znał tu, w okolicy, każde drzewo, każdą skałę. Znalazł to miejsce sześć lat temu, przez ostatnie trzy lata przebudował i urządził. Była to naturalna jaskinia, rzeźbiona miliony lat przez dwunastometrowy wodospad z podziemnego źródła, u którego podstawy rozpościerało się naturalne rozlewisko lodowatej, krystalicznie czystej wody. Gigantyczne stalaktyty zwieszały się z sufitu i formowały w stalagnity w dole pieczary.

Rourke wykorzystał podziemny strumień jako źródło energii elektrycznej, dostarczającej mocy.

Strukturę jaskini pozostawił nie zmienioną. W tylnej części utworzone zostały kwatery do spania, z prawej strony wodospadu. Na mniejszych, naturalnych półpiętrach urządził dodatkowe pomieszczenia – dwie sypialnie, kuchnię i łazienkę. Założył elektryczność, wykonał instalacje wodno-kanalizacyjne i poprzywoził ciężarówką meble, narzędzia i wszystko to, co potrzebne do życia przez dłuższy czas: zapasowe części, a nawet podręczniki i fachowe poradniki. Najbardziej lubił duży pokój w głównej części jaskini. W nim były jego książki, płyty, video-kasety, broń.

– No to jesteśmy – rzekł Rourke zsiadając z motoru.

– Gdzie? Nic nie widzę.

– Nic dziwnego – odpowiedział Rourke – kryjówka byłaby bezużyteczna, gdyby nie była absolutnie bezpieczna. Zrobiłem coś w rodzaju ukrytego wejścia. Nie wystarczy zamaskować je gałęziami, jak w filmach czy w komiksach. Trzeba czegoś trwalszego, stałego.

– Więc co zrobiłeś?

– Spójrz – Rourke podszedł do grubo ciosanej, potrzaskanej i zwietrzałej ściany granitu. Znajdowali się mniej więcej w połowie stoku góry. Pchnął głaz po prawej stronie, a ten potoczył się. Rourke podszedł teraz do ociosanej skały przy granitowej ścianie i odsunął ją.

– Zobacz. Cała Georgia leży na wielkiej granitowej płycie. Ta góra jest częścią górotworu rozciągającego się aż do Tennessee. Robiłem badania geologiczne.

Rourke całym ciężarem ciała naparł na skałę. Rozległ się huk. Rubenstein cofnął się. Skała, na której stał Rourke, zaczęła zapadać się powoli, wreszcie pojawił się otwór, o rozmiarach drzwi do garażu, prowadzący do wnętrza.

– Po prostu wagi i przeciwwagi – uśmiechnął się Rourke. – Gdy zechcesz otworzyć od wewnątrz, dźwignie wykonają to samo przemieszczenie skał.

Rubenstein pochylił się, zaglądając do ciemnego wnętrza.

– Wejdz – powiedział Rourke i wszedł pierwszy z latarką. Włączył słabe, czerwone światło, rozjaśniające wejście.

– Wprowadź motor do środka.

Gdy Rubenstein pchał maszynę, Rourke dodał:

– Paul, tam jest dźwignia z czerwoną rączką, przy wyłączniku światła. Opuść ją na dół.

Odczekał chwilę, aż usłyszał głos Paula:

– Zrobione, John.

Rourke nie odpowiedział, przesunął dwie skały-przeciwwagi w dawne położenie, a potem wszedł do jaskini. Pochylił się nad czerwoną rączką dźwigni, zwolnił ją. Granitowa płyta zaczęła przesuwać się – drzwi zamknęły się. Podłoże drżało. Rourke ujrzał, jak Paul wpatruje się w stalowe podwójne drzwi przed nimi.

– Zainstalowałem urządzenie ultradźwiękowe, żeby nie wchodziło robactwo i insekty.

Rourke podszedł do stalowych drzwi, które podświetlił latarką, przez chwilę manipulował przy tarczy, przekręcił rączkę i drzwi otworzyły się.

– Boże! – wyszeptał Paul. Rourke spojrział na niego i uśmiechnął się.

– Jest tak, jak ci opisywałem – rzekł z dumą. – Wprowadzimy motory po tej rampie – wskazał na kamienną pochyłość. – Zaraz zwiedzisz całość, o ile nie zemdlejesz z wrażenia.

Paul otarł czoło. Rourke tymczasem sprowadził motory i zamknął drzwi od wewnątrz.

– To pomieszczenie jest ognioodporne. Mam parę wyjść zapasowych, pokażę ci je jutro.

U podstawy rampy stała ciężarówka.

– To ford przerobiony na napęd spirytusowy. Mam destylarnię – wyjaśnił Rourke. Dalej, wzdłuż ściany od podłogi do sufitu stały rzędy regałów, a przy nich metalowe drabinki.

– Tam wyżej jest zapas amunicji, żywność, whisky – wszystko co chcesz. Sporządziłem inwentarz całości, notuję, czego ubywa i przybywa, wiem, czego brakuje, co może być już przeterminowane.

Rourke zaczął wymieniać rzeczy na półkach.

– Papier toaletowy, papierowe ręczniki, mydło, szampon, świece, żarówki, śruby, gwoździe, zasuwki, nakrętki, uszczelki...

– A to – wskazał na dolną półkę – najlepsza piła łańcuchowa typu Mc Culloch Pro Mac 610, łatwa w obsłudze, o dużej wytrzymałości. A dalej – części zapasowe.

Rourke ruszył dalej. Pokazywał rzędy półek z żywnością w wielkich pojemnikach, paczkach, puszkach i workach, stosy bielizny.

– Wszystko przygotowane, nie powinno niczego zabraknąć.

Wielka skrzynia przy regale zawierała futerały, paski i inne skórzane rzeczy. Obok druga zawierała wojskowe buty i pasy.

– To zajmie ci tylko chwilę. Rzuć okiem na moje księgi inwentaryzacyjne – zdjął wiszącą na haczyku papierową teczkę.

– A teraz spójrz tam. To moja duma i radość – wskazał na ścianę, gdzie zawieszony był nowy, błyszczący, czarny motor, Harley-Davidson Low Rider.

– Zawiesiłem go, żeby chronić opony – wyjaśnił. Rourke nacisnął kontakt i wyłączył światło w części jaskini za nimi. Włączył drugi i ukazała się kolejna izba.

– To jest pokój do pracy – objaśnił i wskazał ręką na rzędy stołów wzdłuż ścian, a na nich różnoraki sprzęt: imadła, wiertarki, piły. Wyżej, na półkach: filtry, świece zapłonowe, rozmaite narzędzia.

– Jutro oczyszczę broń.

Rourke zgasił światło, przeszli dalej do dużej sali. Wodospad pluskał tuż obok. Rourke zdjął skórzaną kurtkę, odpiął pasy na broń i zdjął je z ramienia.

– Winylowe – rzekł. – Nie lubię tworzyw sztucznych, ale te są trwalsze i łatwiejsze do naprawy. Zwrócił się do Rubensteina:

– Co chciałbyś teraz zobaczyć? Łazienkę? Co sądzisz o prawdziwym prysznicu? – Nie czekając na odpowiedź, wskazał kamienną płytę odgradzającą garderobę. – Weź sobie ubranie.

Rourke przeszedł przez pokój i zatrzymał się przy oszklonej szafie z bronią. Odwrócił się do Paula, który trzymał czystą odzież. Uśmiechnął się.

– Co to jest, John?

– Chodź, zobacz. To dziewięćmilimetrowy Interdynamics KG-9.

– Wygląda jak pistolet maszynowy.

– To tylko półautomat – wskazywał po kolei każdy egzemplarz broni i o każdym coś mówił.

– John, ja wiem, że to nie wypada... ale ile cię to kosztowało?

– Oszczędzałem każdego centa przez ostatnie sześć lat. Czasem uprawiałem hazard, ale nie zawsze wygrywałem. Musiałem też spłacać długi. – Rourke zamknął szafę z bronią i podszedł do sofy, stojącej na środku wielkiego pokoju. Spojrzał na Paula.

– Jesteś chyba ciekawy, jak wygląda łazienka, co? Weszli do kuchni, Paul stanął w progu. Centralną część kuchni zajmował długi, wysoki stół z barowymi stołkami wokół. Z boku stała sześciopalnikowa kuchenka, duża, dwudrzwiowa lodówka i dwie zamrażarki. Rourke otworzył jedną z nich. Wnętrze wypełnione było paczkami owiniętymi w folię aluminiową. Wyjął jedną z nich. Sięgnął do kieszeni, wyjął cygaro, powąchał i włożył do ust.

– Nabierasz mnie – rzekł wolno Rubenstein. Jego głos brzmiał dziwnie. Młody człowiek był wyraźnie wstrząśnięty.

– O co chodzi? Co jest dziwne? Wszystkie wygody, jak w domu. – Rourke stał z zapaloną zapalniczką w ręku.

Na ścianie, ponad głową Paula, wisiała fotografia Sarah i dzieci.

– Wszystkie wygody – powtórzył.

– Jak to wszystko tutaj sprowadziłeś?

– Ciężarówką – odparł Rourke. Podszedł do lodówki, otworzył ją i wyjął pojemnik z lodem. Wziął wysoką szklankę i wsypał kilka kostek.

– Poczęstuj się, czym chcesz – zwrócił się do Paula. Nacisnął włącznik przy zlewie. Rozległ się łoskot, potem szum. Odkręcił kran z zimną wodą; zabulgotała i wytrysnęła silnym strumieniem. Podszedł do szafki i wyjął butelkę. Odkorkował ją i nalał trochę płynu do szklanki z lodem. Wrócił do zlewu i dolał trochę wody, potem wyłączył pompę.

– Musisz zawsze pamiętać o włączeniu wody, to nie jest zwykły wodociąg. Używam kilku pomp

elektrycznych, na wypadek, gdyby któraś się zepsuła.

Rourke przeszedł ze szklanką w rękę z powrotem do dużego pokoju. Rubenstein szedł za nim.

– John, to nie może być rzeczywiste...

– Ależ to jest – Rourke odwrócił się do niego. – Jest! Idź i weź prysznic. Potem przygotuję coś do jedzenia.

– Może kotlety z jajkiem sadzonym? – zażartował Paul.

Rourke nie roześmiał się.

– Dobrze. Zjemy mrożone mięso. A jajka mogą być w proszku?

Rourke pił swego drinka, w czasie gdy Rubenstein brał prysznic. Potem włożył kotlety do kuchenki mikrofalowej i usiadł na sofie. Zaczął przeglądać katalog książek, które stały na półkach wzdłuż ściany dużego pokoju. Pokrzepiła go zawartość jego biblioteki, ale zaraz posmutniał – była to obecnie jego jedyna biblioteka. Odłożył katalog i podszedł do półek. Przysunął drabinę i wspiął się na nią. Wyjął jeden z tomów. Była to książka o przewidywanych zmianach klimatycznych w rezultacie wzrostu temperatury. Niepokoiły go nienormalne wahania pogody. Rubenstein wrócił odświeżony.

– Co to za książki? – wskazał na dolną półkę.

– To książki, które sam napisałem. O broni, o utrzymaniu się przy życiu w ekstremalnych warunkach, o takich różnych rzeczach. Książki z różnych dziedzin. – Rourke trzymał w ręku książkę o klimacie, zastanawiając się, czy znajdzie w niej odpowiedź na dręczący go problem.

– Zawsze uważałem, że książki są równie niezbędne do przeżycia jak żywność, woda, schron czy broń. Co by było, Paul, gdybyśmy przeżyli, ale cała mądrość świata nie ocalałaby w książkach. Einstein powiedział kiedyś coś takiego: „Niezależnie od tego, czym walczone by na III wojnie światowej, następna odbyłaby się już na maczugi i kamienie”. Po prostu cywilizacja skończyłaby się.

– Książki dla dzieci też masz? – zdziwił się Paul patrząc na jedną z półek.

– Dla Annie i Michaela, a może dla ich dzieci. Większość tych książek, zresztą, napisała i ilustrowała Sarah.

– Czy rzeczywiście myślisz, że to będzie trwało tak długo?

– Co? Świat? Czy następstwa wojny? – zapytał Rourke. Nie czekał na odpowiedź. Odłożył książkę na podręczny stolik przy sofie, opróżnił szklankę i powiedział:

– Wyłącz kuchenkę za kilka minut, idę wziąć prysznic.

Wyszedł z pokoju. Ogolił się, wyszorował kilkakrotnie zęby, potem wszedł pod prysznic. Namydlił się dokładnie, umył włosy pod gorącym strumieniem wody. Potem puścił zimny strumień. Woda z podziemnego źródła była lodowata. Stojąc pod prysznicem oglądał swoje ciało. Parę zadrapań, siniaków. W zasadzie wyszedł bez szwanku ze wszystkich ostatnich potyczek i przygód. Badał ostatnio na sobie stopień napromieniowania – nie przekroczył normy. Wciągnął powietrze tak, że mógł policzyć sobie żebra i spostrzegł na piersiach coraz więcej siwych włosów. Uniósł głowę, woda spływała mu po twarzy. Wytrzymał tak dłuższą chwilę. Wycierając się drżał trochę, nieprzyzwyczajony jeszcze do temperatury jaskini. Ciągłe było 68 °F, co wynikało z naturalnej temperatury skał i wody. Z ulgą włożył lekkie obuwie, zamiast wojskowych buciorów.

Domyślał się, że Paul zwiedza jaskinię. Z koszulą wyciągniętą na spodnie, drinkiem i świeżym cygarem Rourke poszedł do tylnej części jaskini, znajdującej się poza pomieszczeniami mieszkalnymi i wodospadem. Uśmiechnął się na widok przyjaciela. Paul był bardzo zmieszany. Przyglądał się małemu domkowi przykrytemu folią. Purpurowe światło żarzyło się w środku, wilgoć skraplała się

na ścianach.

– Ciepłarnia?

– Jesteś zdziwiony, jak widzę. Lepiej byłoby zastosować tu światło słoneczne, ale jak? Myślałem o zainstalowaniu świetlika z zewnątrz, ale to mogłoby być widoczne. Tak jest też dobrze, no i mamy świeże warzywa.

– Masz tu wszystko! – wykrzyknął Paul z podziwem.

– Niezupełnie.

Rourke wszedł do kuchni przygotować kolację i wkrótce nakrył do stołu. Jedli w milczeniu. Po kolacji usiedli w dużym pokoju, pili i rozmawiali. Zegarek Rourke'a wskazywał 4 rano.

Rubenstein poczuł się zmęczony i niebawem poszedł spać. Rourke został sam, ale nie mógł zasnąć. Myślał o żonie i zastanawiał się, gdzie ma jej szukać. Włączył jedną z kaset video. Na ekranie ukazała się Sarah i dzieci. Nie mógł ich jednak oglądać. Włączył jakiś film i patrzył, ale tylko przez chwilę. Wyszukał inną kasetę, z filmem popularnonaukowym o głośnej teorii pochodzenia świata. Oglądając go, zrobił sobie następnego drinka. Potem wybrał film o tajnym brytyjskim agencie wywiadu. Nie mógł się skupić, pił kolejnego drinka i myślał o tym, co zrobi, kiedy skończy się whisky.

Rozdział IX

Natalia zawyła z bólu, kiedy Karamazow wepchnął jej szyjkę butelki w pochwę. Miała poczucie winy, nie powinna była pomagać Rourke'owi w ucieczce. Jednocześnie czuła, że z nim mogłaby zdradzić męża – zostać kochanką Rourke'a.

Teraz podświadomie pragnęła być za to ukarana. Znowu poczuła ból. Butelka zagłębiła się. Natalia wrzasnęła. Wiedziała, że nie może się poddać Karamazowowi. Podniosła się i kantem dłoni silnie uderzyła go w szyję. Jej ciało działało teraz niezależnie od jej woli, broniła się, a instynkt mówił jej, że musi walczyć o życie. Chwyliła mężczyznę za podbródek i pchnęła go. Zsunął się z kanapy, pociągając ją za sobą na podłogę. Wstał zaraz. Trzymał pas, tym razem zamierzał się kłamrą.

– Władimir... – jęknęła. Zrozumiała, że mężczyzna, z którym żyła, któremu mimo wszystko była wierna, oddalił się od niej zupełnie. Klamra pasa śmignęła w jej stronę. Próbowwała uchylić się przed uderzeniami. Machała nogami. Kopnęła go wreszcie tak, że upadł. Pas wypadł mu z ręki. Szybkim skokiem uklękła Władimirowi na piersiach, przygniatając go do podłogi. Sięgnęła po leżący blisko pistolet. Prawym łokciem przytrzymała mu głowę, gdy próbował jej przeszkodzić.

Miała w ręku broń. Odbezpieczyła ją i przyłożyła mężowi między oczy, prawie dotykając skóry. Nie poznawała swego głosu:

– Zabiję cię, jeśli się ruszysz, ty chamie! Wynoś się z tego domu i zostaw mnie! Nie chcę cię znać. Strzelę ci między oczy i jeszcze będę się śmiała!

Odsunęła się od niego. Karamazow wstał i potykając się poszedł w kierunku hallu. Kiedy odszedł, opadła na podłogę i rozplakała się.

Rozdział X

John Rourke otworzył oczy i spojrzał w telewizor. Okazało się, że usnął oglądając film. Momentalnie przypomniał sobie, gdzie jest i co tu robi.

Film trwał jeszcze. Wojskowe samoloty amerykańskie wysoko szybowwały po jasnoniebieskim niebie. Było widać jakieś twarze: a to murzyńskie dziecko, a to hiszpański chłop, potem biznesmen, orientalna kobieta, gospodyni domowa. Twarze dzieci, mężczyzn, kobiet... Amerykanie... A teraz flaga: 50 gwiazd na niebieskim polu z trzynastoma biało-czerwonymi paskami – powiewa nad głowami dzieci. Orzeł na niebie, pomnik Waszyngtona, widok z lotu ptaka na Statuę Wolności.

„Oto ojczyzna dzielnych ludzi” – pomyślał. Wstał, odsunął pustą szklankę, łzy zakręciły mu się w oczach.

Opadł na kolana, kiedy znowu ujrzał flagę powiewającą na wietrze. Nagle cały obraz znikł. Został jedynie wielki pokój w jaskini, wewnątrz granitowej góry – jego kryjówka zabezpieczona przed całym światem...

Sarah, Michael, Annie – twarze... Amerykanie... Płakał w ciemności. Wszystko minęło i może jedyne, co mu pozostało, to ten obraz w pamięci...

Rozdział XI

Mimo że zapadł zmrok, Sarah Rourke z dziećmi jechała dalej. Jacyś ludzie z farmy przy drodze ostrzegali ją, że okolica jest niebezpieczna, bo na drogach grasują bandyci, którzy zabijają napotykanym po drodze podróżnym. Trzymała w pogotowiu odbezpieczony pistolet. Dowiedziała się, że poszukiwana ciotka Millie nosi nazwisko Molliner i ma farmę gdzieś wysoko w górach.

Jechali konno polną drogą, coraz dalej od uczęszczanych szlaków. Wkoło rozpościerały się wzgórza i w oddali – wysokie szczyty. Sarah знаła te góry, przynajmniej tak jej się wydawało. Byli tu z Johnem kilka razy na biwakach, zanim jeszcze urodziły się dzieci. John lubił góry. Mówił jej, że góry są spokojne i silne, ale nawet przy dobrej pogodzie mogą nagle zaskoczyć gwałtowną burzą, ulewą czy śnieżycą. Księżyc był ledwo widoczny, zwłaszcza że wiatr przesuwiał przez jego tarczę gęste, purpurowe chmury. Gdy robiło się przez chwilę jaśniej, Sarah zwalniała i spoglądała na dzieci i na szlak. Czy to była właściwa droga? Mężczyzna z farmy naszkicował jej mapę i, jak dotąd, wszystkie znaki orientacyjne zgadzały się, ale droga była taka długa...

Może celowo skierowali ją na nieuczęszczany, ale bezpieczny szlak, chociaż o wiele dłuższy.

Poprawiła się w siodle. Wiatr wiał, zaczął kropić deszcz. Odwróciła się do dzieci, żeby coś powiedzieć i wtedy dostrzegła po prawej stronie żywopłot. Kilkadziesiąt metrów dalej majaczyło światelko. Zsiadła z konia. Zaczęło padać coraz mocniej. Trzymając lejce obu koni, zbliżyła się do zarośli. Wiatr i deszcz chłostały z dużą siłą. Strużki wody zalewały jej oczy, koszula przylepiła się do ciała. Po kilkunastu metrach zobaczyła jakiś dom. Odwróciła się do Michaela. Miał na sobie poncho, które mu wykroiła z kawałka plastikowej folii.

– Michael, trzymajcie się razem. Jeśli coś się stanie, uciekajcie. Wyprowadź Annie i Millie, i staraj się dojść do jakiejś farmy.

– O co chodzi, mamó?

– Podejdę do tamtego domu. Nie jestem pewna, czy to jest farma Mary Molliner...

Odgarnęła z czoła mokre włosy i ruszyła w stronę domu. Michael nigdy jej nie zawiódł: był synem swego ojca – przekonała się, że można na nim polegać. Zakłuł nożem jednego z mężczyzn, którzy zaatakowali ich farmę zaraz po wybuchu wojny. Wtedy ocalił im życie i niedawno raz jeszcze uratował ją samą... Wzdrygnęła się na wspomnienie choroby – wypita skażoną wodę. Opiekował się nią przez parę dni, póki nie wyzdrowiała. Spojrzała na syna – faliste włosy przylepiły mu się do głowy, był zupełnie przemoknięty.

– Rozumiesz, Michael?

– Okay, mamó. Idź już – rzekł stanowczo sześciolatek. Czy po tych wszystkich przejściach Michael będzie kiedyś znowu małym chłopcem? Musiał tak nagle wydorosnąć, być mężczyzną,

dźwigać na swych barkach zbyt wielki ciężar. Czują łzy napływające do oczu.

Oddała lejce Michaelowi. Dała mu też karabin AR-15, odbezpieczony.

– Uważaj! – ostrzegła i ruszyła w kierunku domu Oglądała się co chwila, żeby nie stracić z oczu dzieci.

– Michael, nie zsiadaj z konia! Uważaj na Millie! – zawołała jeszcze. Zbliżyła się do farmy. Była zmęczona uciążliwą wędrówką i brzemieniem odpowiedzialności za swoje dzieci i osieroconą Millie. Musiała teraz być matką dla nich trojga. „Sarah Rourke – matka i podróżnik” – pomyślała i uśmiechnęła się smutno.

Zamajaczył przed nią zarys domu. W jednym z okien paliło się żółte światło. Zobaczyła mały ganek. Wchodząc na pierwszy stopień potknęła się, przemoczone buty i spodnie sprawiały, że jej kroki były ciężkie. Trzymając się poręczy dobrnęła do drzwi i zapukała. Otworzyły się po chwili. Myślała, że każą jej dłużej czekać. W progu stanął młody mężczyzna z pistoletem w ręku, za nim stała kobieta.

– Mary Molliner... – Sarah mówiła zdyszana. – Przyprowadziłam Millie Jenkins...

Ciepło biło z kuchni. Suche, gorące powietrze sprawiło, że zrobiło jej się słabo. Usłyszała podniesiony kobiecy głos.

– Zejdź z drogi! Pomóż mi ją podnieść! – Sarah poczuła, że jakieś ręce chwytają ją wpół.

Rozdział XII

Rourke usiadł przy kuchennym stole. Popijał mocną, czarną kawę patrząc przez otwarte drzwi na pusty pokój. Wstał wcześniej, oczyścił broń, sprawdził motocykl. Potem wziął prysznic i przebrał się. Wydostał ze schowka plecak Lowe Alpine Systems Loco, używany przez drużyny ratownicze. Zaczął się pakować, ale poczuł głód. Spojrzał na wodospad i pomyślał, co powie Sarah i dzieci, gdy po raz pierwszy zobaczą jaskinię – jeśli w ogóle kiedykolwiek ją zobaczą. Odrzucił tę myśl. Znajdzie ich na pewno i przywiezie tutaj. Wyobraził sobie dzieci bawiące się w płytkim basenie u podnóża wodospadu.

Dolał sobie kawy i na kartce papieru zaczął sporządzać listę rzeczy, które musi zabrać. Miał zamiar wyruszyć zaraz, zbadać okolice opanowane przez Sowietów i bandytów, no i odnaleźć swoją rodzinę. Zanotował: dwa pistolety typu Detonics, zapasowe magazynki i amunicja, lornetka oraz duży, ręcznie wykonany nóż. Podniósł wzrok. Do pokoju wszedł Rubenstein.

– Hej, Paul, próbujesz pobić rekord? – spojrzał na zegarek. Rubenstein spał 14 godzin.
– Po raz pierwszy od dłuższego czasu wiedziałem, że nikt nie będzie do mnie strzelał w środku nocy. Przepraszam...

– Nic nie szkodzi. Nalej sobie kawy. – Rubenstein wszedł do kuchni.

– W lodówce jest sok pomarańczowy. Rozejrzyj się i przygotuj sobie śniadanie.

– Sok pomarańczowy? – Paul szeroko otworzył oczy. Rourke milczał, zastanawiając się, co jeszcze dopisać do listy.

– John – odezwał się Rubenstein – co planujesz?

– Nie wiem jeszcze, kiedy wyruszę. Chyba wkrótce, ale nie będę długo na pierwszej wyprawie. Nie martw się.

– Chciałbym się dostać do St. Petersburga. Jeśli jeszcze istnieje... Muszę sprawdzić, czy żyją rodzice.

– Wiem – rzekł Rourke i uśmiechnął się. – Będzie mi ciebie brakowało, Paul. Zawsze będziesz moim najlepszym przyjacielem.

– Słuchaj, czy... – zająknął się Paul.

– Weź stąd wszystko, co jest ci potrzebne!

– Nie, nie o to mi chodziło. Jeżeli moi rodzice nie żyją, czy...

– Mój dom – Rourke wskazał na jaskinię – jest twoim domem. I chciałbym, żebyś tu wrócił.

A z drugiej strony mam nadzieję, że twoi rodzice żyją. Wtedy mógłbyś mi pomóc szukać Sarah, a moje dzieci miałyby wujka.

– John, ja...

– Nic nie mów. Nie możesz na razie stąd odejść. Jestem lekarzem, zapomniałeś? Musisz odpocząć z tydzień, dopóki twoje rany się nie zagoją. Poza tym, chcę cię nauczyć, jak przeżyć w trudnych warunkach. Dam ci kilka niezbędnych rzeczy – dobry nóż, mapy, kompas. Powiem ci, jak się nimi posługiwać, jak dbać o motocykl. Trochę już na ten temat wiesz.

– John, czy myślisz, że znajdziesz Sarah i dzieci?

– Tak, znajdę ich, na pewno.

Rourke nalał sobie jeszcze jedną filiżankę kawy i oparł się wygodnie.

– Wiesz, Paul, nigdy nie mieliśmy czasu, żeby porozmawiać. Ta Rosjanka – Natalia – zawsze dziwiła się, co dopinguje mnie do działania, co mnie trzyma przy życiu. Kiedyś, jeszcze w Ameryce Łacińskiej, sam jeden ocalałem po tym, jak wpadliśmy w zasadzkę. Na pewno więc trzeba mieć trochę szczęścia. Poza tym głębokie wewnętrzne przekonanie, że chce się żyć.

Rourke wskazał stalowe drzwi prowadzące do hallu i dalej, do zewnętrznego świata.

– Nikt z zewnątrz nie zabije mnie i nie zatrzyma, jeśli na to nie pozwolę... No, oczywiście, jakiś snajper, wysoko na skałach, mógłby strzelić mi w plecy i nic bym na to nie poradził. Ale w otwartym konflikcie... – Rourke szukał właściwych słów. – Nie chodzi o to, że jestem lepszy czy silniejszy, albo sprytniejszy. Ja po prostu nigdy nie rezygnuję. Wiesz, co mam na myśli, Paul? Trudno mi wytłumaczyć jaśniej...

– Wiem, zauważyłem to – powiedział Paul. – Chcesz mnie nauczyć tego samego?

– Nie mógłbym, nawet gdybym chciał. Nie muszę. Tobie potrzeba po prostu wprawy. Sporo się już nauczyłeś. Nie martwię się o ciebie bardziej niż o siebie samego. Jesteś dobrym człowiekiem. Nie mówiłem tego zbyt wielu ludziom.

Zapadło milczenie. Paul poszedł przygotować sobie śniadanie. Rourke znów przejrzał listę. Dopisał coś i w tym momencie skóra mu ścierpła. Licznik Geigera! Przełknął kawę, niemal parząc sobie usta.

Rozdział XIII

Warakow popatrzył znowu na szkielety mastodontów. Wrócił myślami do ostatniej rozmowy z Karamazowem. Zapytał go tamtego ranka o siniaki z prawej strony twarzy, a ten odparł, że przewrócił się na schodach, zaś Natalia jest chora i nie pokaże się przez kilka najbliższych dni. Warakow wysłał Karamazowa na południe, by pomógł pułkownikowi Korcińskiemu w organizowaniu nowej placówki militarnej. Formował się tam – jak donosiły raporty – coraz silniejszy ruch oporu.

Już od czasu afery w Teksasie Warakow stwierdził, że między Natalią a Karamazowem nie układa się dobrze. Po ucieczce Samuela Chambersa uwidoczniła się cała bezwzględność i brutalność Karamazowa. Skazał swoich ludzi za to, że zaniedbał swoje obowiązki i dopuścili do ucieczki. Jego żołnierze zamordowali wszystkich podejrzanych teksańskich policjantów. Była to masakra, jakiej Warakow nie widział od czasów stalinowskich „czystek” z lat trzydziestych.

Jest przecież różnica między prowadzeniem wojny a zwykłym morderstwem! Karamazow był mordercą!

Nagle generał pomyślał, że coś złego mogło się przytrafić Natalii. Zawołał sekretarkę.

– Odwołaj wszystkie moje dzisiejsze spotkania i wezwij samochód. Mam coś ważnego do załatwienia. Gdyby coś trzeba było pilnie podpisać, zrób to za mnie! I pośpiesz się!

Ufał tej dziewczynie.

Martwił się teraz o Natalię, piękną Natalię, nieprześcignionego agenta, odważnego żołnierza, a jednocześnie łagodną i delikatną dziewczynę – jedyną córkę jego zmarłego brata.

Rozdział XIV

Sarah obudziła się i usiadła na łóżku zdumiona. Promień słońca rozjaśnił jej twarz. Przypomniła sobie poprzednią noc, gdy zasłała po wejściu do kuchni. Mary Molliner zajęła się nią i dziećmi. Nakarmiła, wykapała i ułożyła do snu nie tylko swoją siostrzenicę Millie, ale także Michaela i Annie. Mary zaproponowała jej gościnę u siebie.

Sarah odrzuciła koc i przez chwilę przyglądała się swoim stopom. Poruszała palcami, wstała. Zdjęła pożyczoną koszulę nocną. Pantofle stały przy łóżku. Wsunęła w nie nogi, przeszła przez mały pokój i stanęła przed lustrem. Zanim poszła spać, wzięła prysznic i umyła włosy. Przejechała teraz dłonią po rozwichrzonej czuprynie. Rozejrzała się za ubraniem. Zwykle nosiła dżinsy. Na poręczy łóżka leżała rozłożona długa, żółta suknia. Nałożyła ją i przepasała się w talii. Schudła w czasie ostatnich tygodni.

Cicho otworzyła drzwi i wyszła na korytarz. Zbliżyła się do uchylonych drzwi sąsiedniego pokoju. Zajrzała. Michael i Annie spali w dużym, podwójnym łóżku. Powiew wiatru wpadł przez uchylone okno, poruszył firankę, Sarah poprawiła dzieciom kołdrę i wyszła z pokoju. Zbiegła po schodach. Minęła salon, dotarła do drzwi frontowych i wyszła na ganek. Niebo było pogodne, gdzieś zaszczekał pies – po raz pierwszy od tygodni odgłos ten nie niepokoił jej. Sarah śmiała się sama do siebie, czuła się lekko i beztrosko. „Jakby grała piękna muzyka” – pomyślała. Odwróciła się i zobaczyła, że przyglądają się jej – Mary i jej nastoletni syn. Zmieszła się.

– Rozumiem cię, Sarah. Dobrze cię rozumiem.

Sarah podeszła i uściskała ją.

Rozdział XV

Warakow rozsiadł się na tylnym siedzeniu służbowego Lincolna, skonfiskowanego z parkingu nieopodal dawnego Urzędu Federalnego w Chicago.

Był pilny powód wysłania Władimira Karamazowa na południe, pilniejszy nawet niż bandyci i ruch oporu.

Z Teksasu Karamazow przeniósł się na Florydę i tam, korzystając z kubańskiej łączności, badał charakter ofensywy na Przylądek Canaveral. Specjaliści rosyjscy nie zdołali rozpracować wszystkich rodzajów pocisków wystrzelonych przez Amerykanów. Ta sytuacja niepokoiła bardzo przywódców Kremla. Martwiło to też Warakowa, gdyż mogło znaczyć, że Amerykanie starannie przygotowali się do wybuchu wojny. Pomimo miażdżących strat mieli – być może – jeszcze jakąś broń, o jakiej nikt nie mógł marzyć. Patrzył na szare niebo Chicago. Szpiegowskie satelity obu stron, sowieckie i amerykańskie, zniszczyły się wzajemnie. Nic nie zostało oprócz rosyjskiej platformy kosmicznej, bezużytecznej, odkąd Związek Sowiecki nie miał czasu, pieniędzy ani ochoty na badanie przestrzeni kosmicznej. Wszystkie środki pochłonie teraz odbudowa zniszczeń wojennych.

Jeśli Amerykanie ulokowali wcześniej na orbicie jakąś tajemniczą broń, teraz nie byłoby żadnego sposobu jej wykrycia.

Warakow pomyślał o możliwości gigantycznego wybuchu w atmosferze, ostatecznym odwecie za atak sowiecki. Ta myśl wstrząsnęła nim.

Ostatnio znaleziono tajemniczą informację w pomieszczeniu wywiadu Wojsk Lotniczych. Słowa: „Projekt Eden” i rysunek zwróconej ku górze rakiety – obok. Nic więcej. Warakow zastanawiał się, czy te słowa i tajemnicza ofensywa z Przylądka Canaveral są ze sobą powiązane. To był właśnie powód pobytu Karamazowa na południu.

Wywiad doniósł również, że prawdopodobnie żyje jeden z szefów. NASA – Ministerstwa Aeronautyki i Przestrzeni Kosmicznej, odpowiedzialny za ofensywę tamtej nocy. Był nim oficer informacji publicznej. W kartotece znaleziono o nim dane: James R. Colfax. Warakow przypominał go sobie, był niegdyś astronautą, potem dopiero przeniósł się do NASA, gdyż wada serca nie pozwalała mu na udział w lotach kosmicznych. Pilotował jeden z wahadłowców, z których Amerykanie byli tacy dumni. „Ten Colfax – myślał Warakow – będzie wiedział wszystko”.

Colfax miał dom w Georgii, w górach. Przypuszczano, że tam się ukrył. „Ludzie i zwierzęta – myślał Warakow – niewiele się od siebie różnią. Ranne zwierzę ukrywa się w swojej norze, gnieździe lub jamie. Człowiek, kiedy czuje się zagrożony, wraca do swego domu”.

Według informacji z kartoteki wywiadu – człowiek, który pokonał Karamazowa – John Rourke miał również swój dom w Georgii.

Jeśli Rourke przeżył, to powinien być tam, w swoim domu. Może ścieżki tych dwóch mężczyzn skrzyżują się znowu?

Warakow podjechał pod biały budynek, gdzie mieszkali Karamazow i Natalia.

– Zatrzymaj się i poczekaj w samochodzie – polecił kierowcy. Zapiął płaszcz i wyszedł na podjazd.

Było zimno. „Pogoda w Ameryce jest zwariowana – pomyślał. – Jeszcze trzy dni temu było gorąco”.

Wszedł ciężko po schodkach, nacisnął dzwonek i czekał. Zadzwoił znowu, myśląc, że coś nie jest w porządku, potem uderzył pięścią w białe, drewniane drzwi.

Nie było odpowiedzi.

– Wiem, że jesteś w domu. Otwórz! To rozkaz! Po chwili usłyszał jej słaby głos zza drzwi:

– Jestem chora. Nie chcę nikogo widzieć. Warakow wrócił do samochodu.

– Podaj mi moją teczkę! – powiedział do kierowcy. Położył teczkę na masce samochodu, otworzył ją i wyjął z niej pistolet.

– Schowaj ją z powrotem – rozkazał. Zbliżył się ponownie do drzwi domu.

– Jeśli stoisz za drzwiami, odsuń się!

Nie było odpowiedzi. Dał krok do tyłu i strzelił dwukrotnie w zamek. Drzwi zostały otwarte. Schował pistolet i wszedł do środka. Zajrzał do salonu i zawołał:

– Gdzie jesteś, Natalio?

Zobaczył ją stojącą przy drzwiach obrotowych prowadzących z salonu do kuchni. „Kobiety spędzają mnóstwo czasu w kuchni, nawet jeśli nie gotują. Są jak mężczyźni w swoich biurach” – pomyślał.

Przyjrzał się swojej Natalii i stanął jak wryty. Na twarzy miała mocny makijaż, choć zwykle malowała się lekko. Pomimo makijażu od razu zauważył sińce. Na dywanie dostrzegł też ciemne plamy. Takie same na kanapie.

– Karamazow! Bił cię!

– Powiedział ci... – przerwała mu.

– Nie. Nic mi nie powiedział. Podejdź do mnie bliżej, dziecko! – Wyciągnął do niej rękę. Natalia podeszła i przytuliła się do jego masywnej piersi, a on ją objął. Zapłakała.

– Jak ty wyglądasz?

Cofnęła się. Patrzył na nią badawczo. Miała na sobie białą bluzkę z długim rękawem, zapiętą po szyję, czarną spódnicę do pół łydki, buty na płaskim obcasie.

– Natalio, pozwól, że obejrzę twoje sińce – powtórzył. – Kiedy byłaś mała, zmieniałem ci pieluchy, kąpałem cię. Jestem przecież twoim stryjem. Nie wstydź się mnie. Zdejmij bluzkę, żebym mógł zobaczyć twoje plecy.

Warakow patrzył, jak jej długie palce wolno rozpinają guzik przy kołnierzyku; wyjęła bluzkę ze spódnicy, rozpięła ją do końca. Nosila pod spodem halkę z półprzeźroczystego materiału.

– Odwróć się, Natalio.

Odwróciła się posłusznie. Zobaczył ponad koronką górnej części halki sine pręgi. Opuścił ramiączka bielizny.

– To wystarczy – powiedział wolno. – Bił cię pasem. Czy całe ciało tak wygląda?

Skinęła głową.

– Co ci jeszcze zrobił? – zapytał, starając się utrzymać spokojny i ojcowski ton głosu.

– On... – zadrżał jej głos i odwróciła się twarzą do niego. Domyślił się, co chciała powiedzieć.

Wydawało mu się, że absurdem jest, aby mąż mógł zgwałcić żonę. A jednak...

– Wiem już, Natalio. Ale dlaczego? Wiem, że to nie moja sprawa, ale dlaczego on to zrobił?

– Ten człowiek... Rourke. Nie mogę powiedzieć!

– Jestem twoim stryjem. Powiedz mi. Spojrzała na niego. Była tak smutna, jak przed laty, po śmierci ojca.

– Zakochałam się w nim. Ale nic pomiędzy nami nie było. Uratował mi życie, a ja uratowałam jemu. Wymagał tego mój honor.

Warakow lubił ojczysty język. Miękki kontrakt Natalii oddawał całe jego piękno.

– Powinnaś była przede wszystkim pamiętać o swoich żołnierskich obowiązkach. Obowiązek żołnierza stoi przed honorem, a honor jest często luksusem, na który nie możemy sobie pozwolić. Ale ja szanuję twoje przekonania. Powiedz mi... – spojrzał jej w oczy.

– Co, wuju?

– Wrócisz do Władimira?

– On tylko mnie ukarał, bo na to zasłużyłam.

– Jesteś naiwna. Kara jest przeznaczona dla duszy, nie dla ciała. Jeśli mężczyzna bije kobietę... – westchnął ciężko – bije być może w złości, w gniewie... Bije dlatego... nie żeby ją ukarać, ale żeby zmazać swoją winę, moje dziecko. Nie zrobił tego dlatego, że ty zawiniłaś, ale żeby uspokoić swoje sumienie. Obawiałem się, że mimo to wrócisz do niego...

Nie powiedział nic więcej. Usiadł na kanapie obok Natalii. Płacząc, opowiadała mu, co się tu wydarzyło. Został z nią do późna w nocy i zjedli razem kolację.

Tak jak kiedyś, gdy była dzieckiem, rozmawiali o jej ojcu, o wycieczkach nad Morze Czarne, które tak oboje lubili, o jej małżeństwie z Karamazowem.

Kiedy w końcu wyszedł, w głowie kołatała mu jedna myśl: „Karamazow musi umrzeć!”

Rozdział XVI

– Towarzyszu generale!

Warakow otworzył oczy. Posłyszał strzały, głośniejsze i coraz bliższe. Wyrzwał przez okno.

– Co się dzieje? – zapytał, choć właściwie wiedział. Ludzie, którzy przeżyli w piwnicach i schronach, teraz zabijali rosyjskich żołnierzy i rzucali granaty na sowieckie pojazdy. Walczyli o wolność.

Nagle usłyszał brzęk tłuczonej butelki i, zaraz potem, huk eksplozji.

– Wydostań nas stąd, Leon, a dostaniesz dwa tygodnie urlopu w Moskwie i list polecający do burdelu, który prowadzi moja znajoma – powiedział Warakow. Leon był najlepszym kierowcą, jakiego kiedykolwiek miał i wierzył, że przejadą bezpiecznie.

Warakow wyjął pistolet z kieszeni płaszcza, odkręcił boczną szybę i wystrzelił na ulicę. Zobaczył jakieś biegnące postaci, ich cienie ogromniały w blasku płomieni – paliła się przewrócona sowiecka ciężarówka.

Omal nie wypuścił z rąk pistoletu, gdyż Leon, nagle, ostro zawrócił i zwiększył szybkość. Jechali drogą wjazdową na autostradę.

– Jedziemy w złym kierunku, towarzyszu generale.

– Nie szkodzi, Leon, bylebyśmy wyszli z tego cało.

– Niech pan się pochyli! – zawołał szofer i Warakow posłusznie usadowił się na podłodze samochodu. Cegły i kamienie uderzały w maskę pojazdu. Leciały z góry, z wiaduktu dla pieszych. Szyba rozprysła się, samochód zaś przechylił na bok. Warakow klęczał wciśnięty pomiędzy oparciem a tylnym siedzeniem. Wóz zaczął jechać nierówno i po chwili zatrzymał się. Z pistoletem w rękę Warakow podniósł się z kolan i próbował otworzyć drzwi od strony kierowcy. Jakiś człowiek uciekał kładką dla pieszych. Warakow spojrzał na Leona. Twarz chłopca była zakrwawiona, głęboko rozcięta przez szybę, jedno oko wypłynęło. Wyglądało to tak, jakby jego głowa eksplodowała.

Przymknął oczy i zapytał sam siebie:

– Jeżeli ci wszyscy głupcy tak wierzą w ciebie, Boże, to dlaczego tak się musiało stać?

Wyszedł na drogę i ruszył w kierunku nadjeżdżającego wozu policyjnego.

Rozdział XVII

Rourke skierował motocykl na autostradę, chociaż podróżowanie głównymi drogami było niebezpieczne. Rosjanie mogli je patrolować. Zimny wiatr smagał mu twarz – temperatura znowu zaczynała się zmieniać. Drżał z zimna w krótkiej, skórzanej kurtce. Zatrzymał motor, by sprawdzić, czy działa migacz.

Od czasu gdy wyjechał ze swojej kryjówki, widział wiele śladów pojazdów na drogach. Przypuszczał, że pozostawili je bandyci. Zapalił cygaro. Niebiesko-żółty płomień zapalniczki zamigotał na wietrze.

Rourke powiedział Paulowi, że wróci najpóźniej za cztery dni. Ale doświadczenie nauczyło go, żeby być przygotowanym na dłużej. Plecak przymocowany do bagażnika Harleya był załadowany żywnością, lekami i odzieżą. Przez ramię przewiesił chlebak z zapasową amunicją i paroma paczkami owoców w proszku. Na drugim ramieniu wisiała lornetka w skórzanym futerale. Poniżej, przy pasie, colt Government MK – seria 70, a dwa pistolety Detonics tkwiły pod ramionami. Pas z bronią, wokół talii, zawierał również zapasowe magazynki do colta i pistoletów. Po lewej stronie pasa wisiał bagnet.

Nagle dostrzegł jakiś dym, kłębiący się paręset metrów dalej, na drodze dojazdowej do autostrady. Zbliżył się tam, zatrzymał motor i zgasił go. To płonęła stacja benzynowa i parę zepsutych samochodów.

„Niezadowolony klient!” – pomyślał Rourke, uśmiechając się. Zsiadł z motoru, wyjął colta CAR-15, odbezpieczył go, pięść zacisnął na jego rękojeści.

Zauważył coś w rozbitym, czterodrzwiowym samochodzie, tuż przy płonącym budynku stacji. Podeszedł wolno, przygryzając w zębach cygaro. Zajrzał. Był to rozkładający się, objedzony ludzki szkielet. Górna część czaszki była rozłupana od uderzenia ciężkim, ostrym przedmiotem. Kim mógł być ten człowiek?

Za samochodem wybiegła wataha psów. Podobne trochę do owczarków alzackich, z wywieszonymi jęzorami, zdziczałe, wściekłe psy.

John zagryzł wargi. Zastanawiał się, jak zabić te bestie. Gdyby postrzelił jednego, ten mógłby rzucić się na niego, a za nim pozostałe. Drgnął, gdy największy z psów skierował się w jego stronę. Sięgnął po colta. Skierował lufę na najbliższego psa, wypalił. Kula trafiła zwierzę w krtań. Strzelił znowu. Pies szykował się do skoku, ale dostał w łeb i padł.

Strzelał po kolei do każdego z nich. Tak, jakby wykonywał osobliwą egzekucję. Były wściekłe i musiał je zabijać. Klęczał na prawym kolanie. Wreszcie ostatni trafiony pies padł. Rourke wstał i odetchnął ciężko. Sprawdził, czy wszystkie psy nie żyją. Schował broń. Znalazł jakieś szmaty,

podpalił je i rzucił na siedzenie samochodu. „Wściekłe psy też powinny zostać spalone – pomyślał – żeby zapobiec rozprzestrzenianiu się zarazy”. Przeklinając poszedł do motocykla, wziął rękawice i powrzucał psy do płonącego samochodu; nie zajęło mu to dużo czasu. Schował rękawice, wsiadł na motor i ruszył.

Skreślił w drogę prowadzącą z autostrady na południe, kierował się w stronę gór.

Kiedy zatrzymał się ponownie, była trzecia. Wiatr wzmógł się i było dużo chłodniej. Droga biegła nad doliną. Zbliżył się do jej skraju, położył na ziemi i spojrział przez lornetkę w dół. W dolinie rozpościerało się miasteczko. Widział główną ulicę, przy której końcu znajdował się szeroki grób. „Dla dwóch osób” – pomyślał. Na głównej ulicy stała zepsuta ciężarówka, wokół niej kręciło się kilkanaście osób. Ich pojazdy – parę małych, odkrytych ciężarówek i motocykle – parkowały po drugiej stronie ulicy.

Z całą pewnością przyjechali tu plądrować. Rourke leżał za krzakiem i obserwował. Planował zejść w dół i obejrzeć podwójny grób. Po piętnastu minutach grupa rabusiów zaczęła odjeżdżać. Gdy oddalił się ostatni ich pojazd, odczekał jeszcze parę minut. Odbezpieczył broń i zaczął schodzić po zboczach, pomiędzy sosnami. Teren był zaśmiecony łuskami pocisków. Były skorodowane, częściowo przysypane ziemią. Kilka tygodni temu musiała tu się odbyć strzelanina na dużą skalę.

Na ulicy leżały ludzkie kości, niektóre szkielety były nawet częściowo ubrane; zatrzymał się przy jednym z nich. Ten mężczyzna zginął na miejscu, pełniąc obowiązki – bronił miasta.

Ruszył w kierunku grobu. Był bez tablicy. Zastanawiał się, czy wrócić po łopatę do motocykla. Nagle, z oddali, usłyszał warkot silników. Rzucił się w krzaki na zboczu. Po chwili ujrzał skrecającą w ulicę ciężarówkę.. Nie mógł zostać przyłapany, więc szybko wdrapywał się na górę, korzystając z krzaków i sosen. Jego motor był nieco dalej. Dotarł wreszcie do szczytu i zdyszany położył się na trawie.

Bandyci wracali do miasteczka. Było ich chyba ze stu. Miał szczęście, że udało mu się niepostrzeżenie uciec.

W miejscu, gdzie leżał, dojrzał jakiś kawałek papieru. Była to folia do pakowania żywności, jakiej używała Sarah. W rogu opakowania znalazł się czarny stempel – Sarah zwykła oznaczać tak datę zakupu żywności. Zaczął rozglądać się dookoła szukając dalszych śladów. Zatrzymał się. Znowu opakowanie po jedzeniu i ślad stopy. Schylił się, zdjął okulary i wpatrywał się w ledwo widoczny odcisk stopy. Czubkiem bagnetu pogłębił jego kontury – dziecięcy bucik na gumie z rysunkiem na środku podeszwy. Przypomniawszy sobie, jak przed wojną Annie pokazywała mu podeszwy swoich nowych tenisówek: na środku podeszwy była tam stokrotka. Gdy przeorał ziemię bagnetem – zatarł odbicie kwiatka. – „Annie!” Przeszedł dalej, nie myśląc o bandytach w dolinie. To Sarah i dzieci obozowali tutaj. Podróżowali konno, tak jak przypuszczał. W trawie musiały się paść dwa – trzy konie. Tildie – kobyła Sarah, Sam – jego własny koń i chyba jeszcze jakiś jeden koń. Usiadł na ziemi. „Tu gdzieś blisko mieszka rodzina Jenkinsów” – przypomniał sobie. Pan Jenkins był w armii lub w marynarce jako emerytowany podoficer. „Jeśli Sarah i dzieci byli tu z Jenkinsami (oni chyba mieli córkę?) – być może podróżują razem?” – rozmyślał. Zdał sobie sprawę, że jeśli to było ich obozowisko, znajdują się teraz bardzo blisko stąd. Dystans, jaki mogli przebyć konno, był niczym w porównaniu z tym, jaki mógł pokonać na swym Harleyu. Na kolanach przeszukiwał teren, aż dzień zaczął szarzeć. Zerwał się wiatr.

W jakim kierunku oni pojechali?

Przypuszczał, że w góry. Zdecydował się jechać na północ. Góry były bezpieczne. Podeszedł do

motoru, spojrział jeszcze raz na dolinę i zapuścił silnik.

– „Tennessee” – powiedział półgłosem. „Jadąc konno – myślał – w najlepszym razie mogą zrobić 20 mil dziennie. Dalej powinny być ślady obozowiska, pozostałości jedzenia, ślady stóp”. Przypomnił sobie wielkie ilości łusek. Zmuszał się, żeby nie myśleć, co może znajdować się w grobie na skraju miasteczka.

Rozdział XVIII

Rourke zatrzymał motocykl, w półmroku zauważył sześciu uzbrojonych mężczyzn w panterkach. Wyjął Detonicsa i zsiadł błyskawicznie z motoru:

– Rourke, czy to ty? Trzymał wciąż palce na spuście.

– Rourke? John Rourke?

Powoli opuścił pistolet. Nie mógł rozpoznać głosu, choć brzmiał znajomo.

– John Rourke! – powtórzył jeszcze raz głos. Zbliżył się do mężczyzny wołającego go.

– Reed? Kapitan Reed?

– Tak. John Rourke! To naprawdę ty?

– Kapitan Reed!

Przełożył broń do lewej ręki i uściśnął dłoń kapitana.

– John, zostaliśmy tu zrzućni zeszłej nocy. Cały czas się spodziewałem, że cię spotkam.

Rourke rozejrzał się dookoła.

– Jeżeli będziemy tak stać na otwartej przestrzeni, ktoś nas dopadnie. Chodźmy stąd! – i nie czekając na Reeda odwrócił się, przeszedł długimi krokami przez polanę i wsiadł na motor.

– Spotkamy się przy tamtych krzakach – rzucił przez ramię. Zapalił cygaro i ruszył powoli w stronę gęstych, wysokich krzewów. Siedział okrakiem na motorze czekając na Reeda i pozostałych mężczyzn. Usłyszał ich kroki, po chwili przechodzące w bieg. Reed rzucał rozkazy.

– Bradley, dojdź tam i bądź w pogotowiu. Michaelsen, ty to samo, ale wyżej. Jackson, Cooley, Monro – zajmijcie pozycje wzdłuż linii drzew! Ruszać się! Alarm – to długi gwizdek, potem dwa krótkie. – Mężczyźni rozeszli się. Reed pomachał im, potem wyłowił z kieszeni papierosa. Rourke podał mu ogień.

– Robi się zimno. Nie ma teraz żadnych prognoz pogody, a ona się tak bardzo zmienia.

– Tak. Wiem.

– Co tu w ogóle robisz?

– Nie widziałeś może ciemnowłosej kobiety z dwojgiem dzieci. Może jeszcze z drugą kobietą, mężczyzną i małą dziewczynką. Podróżują konno...

– Nie – odparł Reed patrząc na Harleya. – Nikogo takiego nie widziałem. A dlaczego pytasz?

– To moja żona i dzieci. Widziałem ich ślady niedaleko stąd, ale sprzed kilku tygodni.

– Przynajmniej wiesz, że żyją! – rzekł Reed kładąc mu rękę na ramieniu.

– Ale jak ich odnaleźć?

– Posłuchaj – rzekł Reed. – Chcę cię wykorzystać. Jesteś z tych okolic, przydałaby się twoja znajomość terenu.

– Jestem zajęty – rzekł stanowczo Rourke. – Tak, ale to ważne.

– Tak jak dla mnie odnalezienie żony i dzieci, Reed.

– Wiem, ale to byłoby dobre dla wszystkich.

– Mam gdzieś dobro wszystkich. Najpierw muszę znaleźć Sarah i dzieci, potem będę mógł myśleć o czym innym. – Poprawił się na motocyklu, jakby chciał zaraz odjechać. Reed położył mu rękę na ramieniu.

– Nie zatrzymuj mnie, Reed.

– Poczekaj, może będę mógł ci pomóc, jeśli ty mi pomożesz.

– Słucham.

– W porządku. Pozwól, że wyjaśnię ci, co robimy.

– Nie obchodzi mnie, co robicie, Reed. Nie obrażaj się, ale to mnie nie obchodzi!

– Tak, ale mogę pomóc ci odnaleźć żonę i dzieci!

– Jak? – zapytał Rourke.

– Mamy sieć wywiadowczą, korzystamy z kurierów i radia na niskich częstotliwościach. Jest jeszcze wiele innych dróg łączności. Jeżeli zechcę, to wiele osób będzie mogło się rozejrzeć za nimi. A pojedynczy człowiek nieprędko ich znajdzie.

– Czego chcesz?

– Współpracy. Dodatkowego człowieka z bronią, gdyby przyszło co do czego. No to jak?

– Czy twoja organizacja, Reed, jest na tyle duża, żeby znaleźć Sarah?

– Nie będziemy wiedzieli, jeśli nie spróbujemy. Będzie cię to kosztowało parę dni, ale zaoszczędzi tygodni lub miesięcy poszukiwań.

– Znajdę ich – stwierdził stanowczo Rourke. – Powiedz mi, dlaczego tutaj jesteście?

– W porządku. Jesteśmy z dwóch powodów. Chcemy zdobyć informacje o sowieckich pozycjach w Georgii. Karamazow został tu właśnie przydzielony... Powinieneś być tym zainteresowany...

– Natalia – mruknął Rourke.

– Co mówiłeś?

– Nic.

– Widzę, że cię to jednak zainteresowało. W porządku. I jeszcze coś. Szukamy człowieka – być może ty go znasz – który ma tu gdzieś letni dom. Nazywa się Colfax, to były kosmonauta. Gruba ryba w NASA...

– Dlaczego ktoś miałby go potrzebować?

– Czy słyszałeś kiedykolwiek o czymś, co się nazywa „Projekt Eden”?

Rourke zastanowił się przez chwilę. Tyle było zakodowanych dokumentów, tyle tajemniczych projektów. Ta nazwa jednak nie przypominała mu niczego.

– Nie, nie słyszałem.

– To jasne, nikt o nim nie słyszał. Gdy badaliśmy ostatnio ruiny ośrodka kosmicznego w Houston, znaleźliśmy między innymi zwęglony plik papierów, który, jak można było rozeznaczyć, był tym tajnym projektem Eden. Nie znaleźliśmy jednak nikogo z NASA. Liczymy tylko na Colfaxa, on podobno jeszcze żyje. Powinien być właśnie tu, w Georgii.

– Dlatego, że tu ma letni dom?

– Colfax miał wykład na uniwersytecie w Atenach, dzień przed wybuchem. Potem miał parę dni wakacji.

– Wspaniałe wakacje z wybuchem wojny nuklearnej... No więc chcesz, abym go znalazł?

i dowiedział się, czego dotyczył „Projekt Eden”?

– Sądzymy, że projekt ma coś wspólnego z ofensywą na Przylądku Canaveral, zaraz przed uderzeniem i wiemy, że Rosjanie interesują się tym także.

Rourke spojrzął na ciemniejące niebo.

– Dam ci rysopis mojej żony i dzieci, opis koni, na których prawdopodobnie jadą. Sprawdź, gdzie ich ostatnio widziano. Masz tu radio?

– Tak, ale nie mogę używać go zbyt często, żeby nas nie zlokalizowali.

– Potrzebujesz mojej pomocy – rzekł Rourke. – Podaj więc ten rysopis teraz. Napiszę ci szczegóły i posłucham, jak będziesz nadawał. – Wydostał notes z plecaka i zaczął pisać. Godzinę potem wiadomość została nadana. Tym sposobem Rourke zobowiązał się współpracować z Reedem. Potem szybko wrócił do swojej jaskini.

Rozdział XIX

Rubenstein zaniemówił z wrażenia, gdy ujrzał Johna całego i zdrowego i wysłuchał jego relacji ze spotkania z grupą amerykańskiego wywiadu.

– Czy kapitan Reed pytał o mnie?

– Nie.

Rourke zjadł przygotowany przez Paula gulasz z chlebem i usiadł w salonie. Rozmyślał popijając whisky. Paul czytał w drugim końcu pokoju. Po dłuższym czasie odezwał się John:

– Paul, czy sądzisz, że „Projekt Eden” ma coś wspólnego z Przylądkiem Canaveral?

Rubenstein zagłębił się w myślach. Po chwili zaczął:

– Odniesienie do Edenu sugeruje jakiś początek, może ponowny początek.

– Tak – rzekł Rourke.

– Więc może to jest rodzaj lotu załogowego. Wielu ludzi myślało, że świat rozpadnie się po totalnej wojnie nuklearnej, więc może był to rodzaj próby kolonizacji kosmosu lub coś takiego...

– Lub może zupełnie coś przeciwnego – wizja sądu ostatecznego. Musisz pamiętać, Paul, że nazwy operacji wywiadowczych rzadko mają coś wspólnego z rzeczywistym charakterem akcji. Może więc nowy początek oznacza niespodziewany koniec.

– Myślisz o jakiejś superbombie krążącej po orbicie ziemskiej i nastawionej na wybuch?

– Może nie teraz – rzekł spokojnie Rourke. – Może w ciągu najbliższych pięciu czy dziesięciu lat... albo za pięć minut? A może to nie jest wcale to, o czym myślimy.

Spojrzał na zegarek, dochodziła północ. Dwaj mężczyźni rozmawiali jeszcze chwilę, zanim poszli spać.

Rourke zaciągnął zasłony oddzielające jego sypialnię od reszty jaskini. Zdjął ubranie. Leżąc na podwójnym łóżku, położył rękę na pustej połówce, z myślą o Sarah.

Rozdział XX

Rourke, Reed i trzech innych ludzi z wywiadu przeszli obok uniwersytetu i skierowali się do centrum miasta. Byli nieuzbrojeni, bowiem być złapanym z bronią palną lub nawet z nożem w mieście okupowanym przez Rosjan – było równoznaczne ze śmiercią. Rourke jako jedyny z nich miał możliwość nawiązania kontaktu z Ruchem Oporu. Znał człowieka, który na pewno należał do Ruchu. Był nim Darren Ball: dawniej członek Sił Specjalnych, eksnajemnik; twardy, doświadczony człowiek i anty komunista. Przed wojną Ball prowadził księgarnię specjalizującą się w książkach z zakresu uzbrojenia i wojskowości. Przedtem, w Rodezji, stracił nogę, co zakończyło jego karierę wojskową.

Rourke obserwował ulicę. Widok uzbrojonych w karabiny Kałasznikowa żołnierzy rosyjskich, przechadzających się w słońcu po amerykańskim mieście, napawał go wstrętem. Sierżant Bradley, zaciekły antykomunista, ledwo wstrzymywał się od zaatakowania ich gołymi rękoma.

– Mam nadzieję, że nikt nas nie zatrzyma i nie wylegitymuje – rzekł Rourke cicho, prawie nie poruszając ustami. – Bradley, pójdiesz z Reedem i ze mną. Wy dwaj zostaniecie tutaj. Spróbujcie ocenić układ sowieckich jednostek. Bądźcie opanowani! Spotkamy się za godzinę – i nie czekając na odpowiedź, ruszył wraz z Reedem i Bradleyem w kierunku ulicy, przy której znajdowała się kiedyś księgarnia Balla. Minęli kilku rosyjskich żołnierzy i dotarli do rogu ulicy. Rourke zatrzymał się przy jakiejś witrynie. Okna zabite były deskami, a drewniana tablica z informacją – oblana czarną farbą.

– Co teraz zrobimy? – zapytał Reed.

– Nie przejmuj się – odparł Rourke i odszedł kilkanaście metrów dalej, gdzie stała grupa młodych ludzi. Najwyraźniej naruszali wydany przez Rosjan przepis zabraniający zgromadzeń... Nasunął nisko kowbojski kapelusz i wyjął cygaro z kieszeni kraciastej koszuli. Zapalając je, pochylił głowę i nie patrząc na nich zapytał:

– Czy ktoś z was przypadkiem wie, co stało się z facetem bez nogi, który prowadził tę księgarnię obok?

Jeden z młodych mężczyzn spojrzał na niego z ukosa.

– Chcesz informacji? Idź do diabła! Dziewczyna, może osiemnastoletnia, złapała chłopaka za ramię.

– Cliff, nie bądź taki.

– Spokojnie – wtrącił Rourke. – Jestem starym przyjacielem Darrena Balla. Czego się boicie?

Popatrzył na dziewczynę. Poprawiła nerwowo włosy, rzucając niespokojne spojrzenia.

– Nic nie miałam na myśli...

– Nie mów za mnie, Patty. Nie mam zamiaru odpowiadać temu gnojkiowi – rzekł ostro Cliff.

Rourke rozejrzał się, a potem błyskawicznie uderzył chłopaka pięścią w twarz i kopnął go w kroczę. Kiedy ten zgiął się wpół, wykręcił mu rękę. Chłopak osunął się na kolana. Rourke złapał go pod pachy i postawił na nogi.

– Weźcie go – przekazał Cliffa dwóm jego kolegom. Rourke zapalił cygaro, wypuścił szary dym i spojrzał na dziewczynę.

– Patty, powiedz mi... Sądziłaś, że jestem rosyjskim szpiegiem, co?

– Ja tego nie powiedziałam... – wyjąkała. Zbliżył się do niej. Patrzyła mu prosto w oczy. Zdjął okulary, mówiąc:

– Nie powiem ci, dlaczego chcę widzieć Darrena Balla. To tylko mogłoby wpędzić cię w kłopoty. Wystarczy, abys wiedziała, że jesteśmy starymi przyjaciółmi. Jeśli nie lubisz Rosjan tak bardzo, jak się ich boisz, powinnaś mi powiedzieć i to teraz. Czy wiesz, gdzie on jest?

– Przykro mi – odrzekła, zerkając nerwowo na boki. – Może nie robi pan nic złego, ale Rosjanie płacą informatorom i ludzie zaczęli donosić na innych, czasami zupełnie bez powodu! Oni niekiedy puszczają wolno, ale zwykle zabijają. Moją siostrę wypuścili. Nic nie zrobiła, ale od tamtej pory nie otwiera ust... – dziewczyna westchnęła ciężko.

Rourke odwrócił się. Sześciu uzbrojonych Rosjan ukazało się na rogu ulicy. Spojrzał na dziewczynę.

– Szybko, gdzie?

– Tam, w dół, przy stacji benzynowej...

– Ty! Kowbojski kapelusz! – posłyszał młody, władczy głos. Odwrócił się. Reed i Bradley odsunęli się i przeszli na drugą stronę ulicy.

– Tak? – John spojrzał pobłaźliwie.

– To jest niewłaściwe odezwanie się – rzekł młody sowiecki sierżant.

– A jak mam się do was odzywać?

Rosjanie podeszli. Rourke włożył przeciwsłoneczne okulary i przesunął cygaro do kącika ust.

– Zadałem ci pytanie, chłopcze. Jak niby mam cię nazywać? Pasuje ci: pizduś?

– A co to jest „pizduś”? – zapytał młody oficer. Rourke usłyszał śmiech za plecami. Spojrzał na czubki swych kowbojskich butów, potem w oczy młodego Rosjanina.

– To trudno wyjaśnić, chłopcze. To jest rodzaj męski od żeńskiego organu.

– Rodzaj czego?

– Zaraz ci pokażę – i Rourke sięgnął do kieszeni na piersiach, tak jakby chciał wyjąć coś do pisania. Ostrze noża błysnęło i w sekundę przecięło tchawicę żołnierza. Wolną ręką Rourke sięgnął po pistolet maszynowy, strzelił Rosjaninowi stojącemu obok prosto w głowę i rzucił się do ucieczki. Czterej inni, krzycząc wściekle, rzucili się za nim. Kątem oka zobaczył Reeda, więc machnął mu ręką, żeby się nie wtrącał. Odwrócił się i oddał dwa strzały. Następny Rosjanin padł. Zobaczył Bradleya, który schylił się nad zabitym po pistolet i zaczął biec za Rourke'em. Na ulicy pojawiło się kilkunastu sowieckich żołnierzy. Rourke ukrył się za budką telefoniczną i strzelał w kierunku nadbiegających Rosjan, a Bradley dobiegł do niego.

– Jesteś szalony! – krzyknął Rourke. Ruszyli razem, strzelając na oślep.

– Rourke spojrzał za siebie i zobaczył uciekającą dziewczynę. Skręcił w przerwę między budynkami, Bradley za nim.

Na końcu podwórka płot blokował drogę. Rourke zatrzymał się, spojrzał za siebie, potem na najbliższą ścianę budynku. Rzędy okien w drewnianych ramach miały szerokie parapety. Wspiął się

na najniższy, postawił stopę i chwycił ręką za wyższy parapet. Nogi przez chwilę zawisły mu w powietrzu. Podciągnął się, wyprostował i sięgnął rękami wyżej, by znów wspiąć się na kolejne piętro.

Spojrzał w dół – Bradley przykucnął za wąskim występem muru, strzelał, nie pozwalając Rosjanom zbliżyć się. Rourke ruszył znów w górę. Widział już nad sobą linię dachu. Sięgnął jedną ręką do blaszanej krawędzi, odłamki muru posypały mu się na głowę. Dźwignął się, drugą ręką chwytając za występ dachu i podciągnął się, wbijając paznokcie w zardzewiałą powierzchnię. Wyciągnął się na dachu i odetchnął.

Wyjrzał i zawołał do Bradleya:

– Chodź tu, Bradley! Będę cię osłaniał! Położył się na brzuchu, skierował broń w dół, na Rosjan nacierających na Bradleya.

– No! Dalej, wchodź! – krzyknął znów. Bradley już chwycił się pierwszego okna. Rourke strzelał, osłaniając sierżanta, który uchwycił się drugiego parapetu, potem szybko sięgnął do następnego i podciągnął się. Rourke wciąż strzelał. Kiedy Bradley znalazł się już na ostatnim parapecie, wyciągnął ręce, próbując dosięgnąć dachu, brakowało mu jednak kilkunastu centymetrów.

Rourke odłożył na chwilę pistolet, zdjął pas i spuścił go z dachu. Bradley chwycił się mocno. Rourke tymczasem strzelał, ponownie trzymając pistolet w lewej ręce. Prawa ręka Bradleya była już zaczepiona o krawędź dachu i Rourke poczuł, że napięcie pasa słabnie. Złapał sierżanta za przegub i pomógł mu wczołgać się. Wyjrzał. Jeden z Rosjan wdzierał się już na mur.

– No chodź tu, chodź!

Rosjanin dość zręcznie wspiął się na najwyższe okno. Rourke wychylił się z pasem. Ciężka klamra trafiła żołnierza w policzek i nos. Runął do tyłu i upadł na beton, tuż obok swych towarzyszy. Ci, nieustraszeni, nadal próbowali wspinać się na mur.

Rourke zbadał dach. Z żadnej strony nie było schodów przeciwpożarowych. Sąsiedni budynek, nieco niższy, stał w odległości 2-3 metrów.

– Chodźmy! – zawołał do Bradleya. Rozpędził się, skoczył i wylądował na sąsiednim dachu.

Bradley stanął na krawędzi, szykując się do skoku.

– Łap pistolet! – i przrzucił mu broń, potem pas. Cofnął się, wziął rozbieg i skoczył pochylony.

– Uważaj! – krzyknął Rourke. Bradley już sięgał dachu, gdy sowiecki żołnierz strzelił do niego. Sierżant rozłożył ramiona, jak ptak szykujący się do lotu. Ciało runęło w dół, pomiędzy budynki. Rourke klęknął i wycelował w głowę Rosjanina.

Wstał i zobaczył, że Rosjanie próbują otaczać dom, w którym się znajdował. W tej samej chwili posłyszał, w dalszej części miasta, huk eksplozji. Spojrzał za siebie. Trzech żołnierzy wspinało się już na sąsiedni dach. Wystrzelił. Zużył cały magazynek, więc wyjął nowy i załadował. W dole parkowała ciężarówka z przyczepą. Rourke zdecydował się: wziął mały rozbieg i skoczył na brezentowe pokrycie przyczepy. Odbił się od niego, upadł na bruk, ale natychmiast wstał i rzucił się do ucieczki. W oddali wyły syreny.

Rozdział XXI

Warakow spacerował nad brzegiem jeziora, wpatrując się w głęboką, niebieską wodę. Szedł ostrożnie po śliskim, nadbrzeżnym wale, zatopiony we własnych myślach. Miał tyle spraw na głowie!

Zastanawiał się nad sposobem uśmiercenia Karamazowa. Strzelenie prosto w twarz pupilkowi KGB mogłoby skończyć się tragicznie, nawet dla Warakowa. Próba wciągnięcia go w jakąś aferę także nie była dobrym pomysłem – to zaszkodziłoby Natalii. A gdyby spisek wydał się, on, Warakow, ucierpiałby na tym najbardziej.

Generał doszedł do wniosku, że najlepiej byłoby, gdyby śmierć Karamazowa uczyniła zeń bohatera. To zwiększyłoby bezpieczeństwo Natalii. Czyli – sprawa powinna być głośna. Powinien zrobić to jakiś Amerykanin. Właściwie nie „jakiś”. Ten człowiek musi być zręczny, sprytny i bardziej zawzięty niż sam Karamazow. Jest taki człowiek! Od niego zresztą zaczęła się ta cała walka między Karamazowem a Natalią. Jakże on się nazywał? Warakow stał, wbijając wzrok w wodę. Wiatr wzmagał się, Rosjanin nie czuł jednak chłodnych podmuchów.

– „Rourke!” – przypomniał sobie. Przeszedł parę kroków w stronę służbowego samochodu.
– Towarzyszu generale! – odezwała się jego sekretarka. – Robi się zimno. Wracamy?
– Kawę proszę – rzekł, wsiadając do wozu. – Nie spacerowałem tak dobrze chyba od dziesięciu lat – uśmiechnął się do niej.

Był trochę zmęczony, ale czuł się lekko. „Rourke – pomyślał – on już raz wykiwał Karamazowa. Będzie najlepszy!”

Rozdział XXII

John Rourke ukrył motocykl i broń w okolicy małej stacji kolejowej na przedmieściu. Szedł ostrożnie w kierunku miejsca, gdzie powinien być Reed. Widział już jego dwóch ludzi z bronią. Podeszedł bliżej i zawołał ich. W oddali, raz po raz, rozlegały się eksplozje. Mężczyźni usiedli na wilgotnej trawie.

– Co, do diabła, dzieje się w tym mieście, święto 4 lipca czy wojna? – zapytał jeden z nich.

– I to, i to – odrzekł Rourke. Bradley nie żyje. Zastrzelił go Rosjanin, ale dostałem drania. Reed i reszta w porządku. Skontaktowałem się z Ruchem Oporu, mam nadzieję.

Zdrapał błoto z butów i zajął się sprawdzaniem broni.

– Możemy trochę poczekać, ale nie za długo. Nie chcę, żeby Rosjanie zdążyli zrobić blokadę dróg.

Rourke myślał o ostatnich wydarzeniach. Tamten młody oficer na pewno by go aresztował. Oznaczałoby to identyfikację, bo po tym, jak pomógł prezydentowi Chambersowi wydostać się z teksańskiej fortecy KGB, wszystkie jednostki bezpieczeństwa miały jego rysopis, może nawet fotografię... Rourke nie żałował tego co zrobił; wiedział, że ludzie w każdym okupowanym amerykańskim mieście potrzebowali czegoś, co pokazałoby im, że Rosjanie nie są niezwyciężeni. Uśmiechnął się. Oczywiście, że nie są niezwyciężeni. Nagle coś zamajaczyło na odległym końcu potrójnego skrzyżowania. Trudno było rozpoznać, bo droga skręcała ostro i była częściowo niewidoczna. Rourke pożałował, że nie ma swojego karabinu Steyr Mannlicher SSG, który pozostał w jaskini. Z niego mógłby strzelać na odległość kilkuset metrów. Wystarczyłaby zresztą półautomatyczna wersja colta. Mimo dużego doświadczenia w dziedzinie wojskowości, Rourke czuł niechęć do skomplikowanej broni, uciążliwej w konserwacji.

Znowu ruch na szosie. Tym razem był to Reed i dwóch innych mężczyzn. A za nimi – spojrzał przez lornetkę – czwarta postać: Darren Ball, na swojej protezie. W ciągu trzech minut wszyscy mężczyźni zbliżyli się do Rourke'a. Twarz Balla rozjaśniła się w uśmiechu, ale oddychał ciężko.

– John, ty diable! Myślałem, że cię dostali! Uścisnęli sobie ręce.

– Darren, czy wiesz coś o mojej żonie?

– Niestety, nic nie potrafię ci powiedzieć.

– A ty? – zwrócił się do Reeda.

– Ktoś mi opowiadał, że gdy przechodził przez teren obok twojego domu, pod koniec pierwszego dnia po wybuchu wojny, widział ślady kopyt końskich i opon ciężarówek. Dom był spalony, dymił jeszcze. Znaleziono kilka zwęglonych ciał, w tym jedno kobiety. W domu była też spalona broń.

– Miałem tam tylko dubeltówkę i colta. Sarah prawdopodobnie wzięła je.

– Ona nie wie, gdzie jest ta twoja jaskinia? Rourke popatrzył na Balla, mówiąc:

– Jakoś nigdy nie było okazji. Tylko ja znam to miejsce. – Celowo nie wspomniał o Paulu Rubensteinie. Nie wiedział, na ile można ufać Ballowi, mimo ich długiej znajomości.

– No dobrze. Powiem, żeby odszukali ją i dzieci. A teraz ty powiedz, co tu robisz oprócz sprawiania kłopotów?

– Zapytaj, Darren, tych facetów – oni wiedzą. Ja jestem po prostu miejscowym przewodnikiem – roześmiał się.

Ball także się roześmiał i zwrócił do Reeda:

– Chcesz tego Jima Colfaxesa. Dziś wieczorem jest najlepsza pora. Twoi chłopcy mogą nam pomóc. Spojrzał na Johna. Rourke rzekł:

– Nie traćmy czasu, mów.

– Powiem krótko – zaczął Ball – na dziś zaplanowaliśmy ważną operację. Ja nie mogę iść, ale ty, Rourke, pójdziesz, mogę cię zapewnić, że cały Ruch Oporu zacznie szukać Sarah. No i Colfaxesa – spojrzał na Reeda.

– Gdzie? – zapytał Rourke, zanim Reed zdążył się odezwać.

– O 9.00 w dawnym kinie samochodowym, przy autostradzie. Znasz to miejsce?

– Tak. Zsynchronizujmy zegarki.

– Hej, John? – zwrócił się do niego Ball, widząc, że Rourke zbliża się już do swojego motoru.

Rourke wyciągnął do niego rękę.

– Zapomniałem podziękować za fajerwerki. Uwolniły mnie, Darren.

– Kosztujesz nas, John. Bądź dobrze uzbrojony! Znosi się na małą masakrę.

Rourke spojrzał w szare oczy Balla, pokręcił głową i odszedł do swego motocykla.

– Małą masakrę – mruknął. – Niektórzy ludzie nigdy się nie zmieniają...

Rozdział XXIII

Natalia ostrożnie usadowiła się na kanapie, pręgi na ciele wciąż ją bolały. Na twarzy też nosiła jeszcze ślady pobicia. Poprawiła długą spódnicę i objęła rękoma kolana. Zastanawiała się, czy stryj będzie próbował zemścić się na Władimirze?

Przełknęła łyk wódki. Wzdrygnęła się na myśl o zemście. Odgarnęła kosmyk włosów z czoła i owinęła niebieską, aksamitną spódnicę ciaśniej wokół kolan.

Spojrzała na zegar stojący na stoliku. Jej stryj, generał Ishmael Warakow, zadzwonił właśnie, żeby zapowiedzieć swój przyjazd. Chciał zobaczyć się z nią. Dlaczego?

Posłyszała energiczne stukanie pięścią w drzwi. Wstała, poprawiła spódnicę, sięgnęła do szuflady po pistolet. Sprawdziła, czy jest naładowany i włożyła go do kieszeni spódnicy. Przypuszczała, że to Warakow, ale wolą się upewnić. Pukanie powtórzyło się. Podeszła, chciała spojrzeć przez wizjer, ale najpierw zapytała po rosyjsku:

– Kto tam?

– Zimno tu na dworze. Jestem starym człowiekiem, zbyt leniwym, żeby zapiąć guziki płaszcza. Pośpiesz się, dziewczyno!

– Warakow! – Kochała go jak ojca. Może nawet bardziej niż ojca, którego straciła, kiedy była małą dziewczynką. Otworzyła ciężką zasuwę, potem łańcuch. Starszy mężczyzna rzeczywiście stał w rozpiętym płaszczu, zacierając z zimna ręce. Wszedł i uściskał ją, jak zawsze, od lat.

– Stryju – szepnęła.

– Dziecko – objął ją ramieniem. – Zimno tu jak w Moskwie, tylko trochę bardziej wilgotno.

Stanęli w hallu, obok schodów prowadzących do salonu. Pomogła mu zdjąć płaszcz, wzięła kapelusz i rękawice. Weszli do salonu. Bała się tego, co miał do powiedzenia. Usiedli obok siebie na kanapie. Natalia niecierpliwie poprawiała włosy. Patrzyła w głębokie, smutne oczy stryja.

– Natalio, potrzebuję pewnych informacji, ale nie mogę powiedzieć, po co. Niewątpliwie już się domyślasz, o co chodzi, ale zachowaj dla siebie swoje podejrzenia. Chcę informacji.

– Jakich?

– Przygotuj mi wódkę, potem ci powiem. Podniósł do góry jej szklankę, powąchał i uśmiechnął się.

– Ale żadnej amerykańskiej, żadnych koktajlów z lodem. To tylko marnowanie alkoholu.

Uśmiechnęła się. Schyliła się i pocałowała go w policzek, po czym wstała i poszła do kuchni. Nalała mu 2/3 szklanki i wzięła ze sobą do salonu butelkę. Warakow wypił do dna, zrobił mocny wydech i rzekł chrapliwym głosem:

– To nie jest taka wódka, jaką robiliśmy, kiedy byłem chłopcem. W ogóle nie przypomina tamtej

wódki.

Uśmiechnęła się i naląła mu jeszcze. Popatrzył na szklanę, jakby zastanawiając się nad czymś. Natalia również podniosła swoją szklanę. Lód prawie się stopił.

– Co chcesz wiedzieć, stryju?

– Chcę znać nazwisko człowieka, którego miał u siebie Władimir. Człowieka, który zdradził nowego prezydenta, Samuela Chambersa. Nazwisko, tytuł i stanowisko lub oficjalne funkcje. Muszę też wiedzieć, jak się z nim skontaktować. To wszystko.

Odstawił wódkę. Natalia patrzyła na jego ręce. Zastanawiała się, do czego są naprawdę zdolne.

Rozdział XXIV

Sarah Rourke siedziała na schodach ganku, słuchając kuchennych odgłosów. Patrzyła na czerwonawy krąg słońca, otoczony drobnymi chmurami. Tam, gdzieś na horyzoncie, był kres jej spokoju. Zaczynał się świat strachu, nienawiści i terroru.

Wstała. Popatrzyła na stopy w pożyczonych butach. Poprawiła pożyczoną suknię i weszła do domu. Przeszła przez salon i wąski korytarz do kuchni.

Mary stała przy zlewie i płukała jarzyny.

– Czy pomóc ci w czymś, Mary? – zapytała.

– Bardzo proszę, Sarah. Trzeba obrać ziemniaki. Nóż jest w górnej szufladzie. Fartuch wisi na haku po drugiej stronie drzwi.

– Okay – rzekła Sarah, zawiązując fartuch wokół talii. Znalazła nóż, usiadła na małym stołku i otworzyła torbę z ziemniakami.

– Gdzie kłaść obierki?

Mary odwróciła się od zlewu, nie zakręciła wody.

– Zawsze używałam starych gazet, ale teraz nie ma już żadnej. Weź torebkę papierową, tu jest jedna, ze sklepu pana Harlanda. Prowadził sklep spożywczy, ale umarł na atak serca, kiedy włamali się do niego. Po prostu wjechali ciężarówkami i motorami przez okna wystawowe, zabijając sprzedawców, którzy im stanęli na drodze.

Mary odwróciła się i zakręciła wodę. Potem wytarła ręce w fartuch i zapatrzyła się przed siebie. Sarah obserwowała ją, myśląc o tym, co powiedziała przed chwilą. Wyjrzała przez kuchenne okno na zielony ogród i dalej. Usłyszała, jak Mary pociąga nosem. Potem zobaczyła, jak schyla się i wyciera fartuchem twarz. Mary odezwała się, nie patrząc na Sarah:

– Nie wiem, Sarah, gdzie kłaść te obierki, naprawdę nie wiem.

Rozdział XXV

Mężczyźni zbliżali się do dawnego kina dla zmotoryzowanych. Rourke znał małżeństwo, do którego należało to kino przed laty. Zastanawiał się, czy przeżyli.

Poczuł, że ktoś stuka go w ramię i usłyszał szept Reeda:

– Dlaczego idziemy okrężną drogą?

Rourke zatrzymał się, wyjął colta i odbezpieczył.

– Ufam ludziom z Ruchu Oporu, ale zawsze między nimi może znaleźć się zdrajca, pracujący dla Sowietów.

– Przekłęci Rosjanie – mruknął Reed. Rourke spojrzał na niego, w ciemności widział niewyraźnie jego twarz.

– Tak, przekłęci komuniści, ale nie przekłęci Rosjanie. To są ludzie tacy sami jak my, ale zniewoleni przez komunistyczny rząd. Muszą robić to, co im każą.

– Zakochałeś się w tej rosyjskiej kurwie, co? Chambers powiedział, że ona...

Rourke bez wahania, trzasnął go lufą w brzuch. Reed wydał głuchy jęk i zgął się wpół. Rourke potrząsnął nim i przyłożył mu broń do twarzy.

– Trzymaj się z daleka od moich osobistych spraw, Reed, słyszysz? To nie jest twój interes! Gdyby nie ta Rosjanka, twój prezydent więziony byłby do tej pory przez komunistów, a ty i twoi ludzie zginęlibyście w wyniku wybuchu neutronowego. Nieważne, co czuję do niej. Ona oddała nam przysługę i prawdopodobnie wiele ryzykowała. Może zrozumiesz, że każdy człowiek spotyka wiele kobiet, które może lubić, które mogłyby także pokochać w innych okolicznościach. Ale moja żona, gdziekolwiek się teraz znajduje, jest mi wierna i ja jestem winien jej to samo. Zrozumiałeś, Reed? A może chcesz iść w krzaki, bo wzburzyła cię moja przemowa, co?

Nawet w ciemności Rourke dostrzegł nienawistny wzrok Reeda.

– Prawisz mi kazania, panie bohaterze? Co taka gówniana wojna znaczy dla ciebie, co?

Rourke wziął długi oddech i powiedział przez zęby:

– Ty i facyci tacy, jak ty, spieprzyli to wszystko. Graliście w swoje małe gierki, a świat kręcił się wokół was, a gdy się zatrzymał, myślicie, że to tak, jak koło ruletki. Wygrywasz – fajnie, przegrywasz – to będzie następna gra. Tak, patrzysz na zachody słońca, czujesz na skórze zmiany temperatury, mierzysz opady deszczu, liczysz ciała zabitych. Ty frajerze! Jakiś komunista dał rozkaz ataku, jakiś facet w górze nad nami dał rozkaz ataku i co, myślisz, że to rzeczywiście takie wspaniałe nacisnąć jakiś przeklęty, anonimowy guzik? I pewnej nocy zabijasz miliony ludzi. To jest ta cholerna wojna!

Rourke odwrócił się i ruszył ku głównemu parkingowi zniszczonego kina. Doszedł do rzędu

wysokich sosn. Ich długie cienie kładły się na ziemi. Na parkingu paliły się latarnie. Zobaczył zgromadzonych tam ludzi. Nie lubił spotkań na odkrytej przestrzeni. Począł, aż nadejdzie milczący Reed.

– Jak to wszystko się skończy, jeszcze pogadamy – rzucił, nie patrząc na Rourke'a. Rourke pomyślał, że Reed jest tak samo twardy i uparty jak on.

Rozdział XXVI

Generał Warakow siedział przy biurku. Poza zasięgiem światła prostokątnej lampy, stojącej na blacie, panował półmrok. Jeszcze dalej było zupełnie ciemno i dopiero daleko, w głównej sali, przy mastodontach, paliło się słabe, górne światło.

Warakow przetarł oczy i spojrzął na dokumenty z kartoteki. Były to akta Johna Thomasa Rourke'a. Przejrzał je raz jeszcze: doktor medycyny bez specjalizacji, przygotowany do ogólnej praktyki. Nie rejestrowany przez rok, potem wstąpił do Centralnego Wywiadu jako oficer. Znaczyło to, że był tajnym agentem. Potem przeniósł się do Czarnej Sekcji Tajnych Służb. Kilka razy zabijał dla CIA, głównie w Ameryce Łacińskiej. Tam właśnie skrzyżowały się po raz pierwszy ścieżki Karamazowa i Rourke'a. I Rourke wyprowadził wówczas Karamazowa w pole.

Z jakiegoś tajemniczego powodu Rourke odszedł z wywiadu po akcji w Ameryce Łacińskiej, z której zresztą cudem uszedł z życiem. Była tam jakaś zasadzka. Wszyscy jego ludzie zginęli.

Czyżby stracił nerwy? Warakow wątpił w to. Po opuszczeniu CIA Rourke zaczął działać na własną rękę, nie w wywiadzie, lecz w brygadach antyterrorystycznych, szkołach przeżycia. Brał udział w szkoleniach w zakresie różnych rodzajów broni. Był widziany w proamerykańskich, wojskowych i policyjnych jednostkach, w każdym dosłownie zakątku świata, gdzie Amerykanie potrzebowali pomocy. Warakow zanotował w pamięci, żeby sprawdzić, czy Rourke rzeczywiście opuścił CIA, czy był to po prostu kamuflaż.

Rourke napisał kilka książek o medycznych i psychologicznych aspektach przeżycia w ekstremalnych warunkach. Był ekspertem. Warakow wiedział, że niektóre z tych prac były przetłumaczone i wydane nielegalnie, jako praktyczne poradniki i podręczniki, w Związku Sowieckim.

Odczytał informacje o rodzinie. Żona Rourke'a była autorką i ilustratorką książek dla dzieci. Mieli dwoje potomków: siedmioletniego Michaela i pięcioletnią Ann.

Popatrzył do rubryki o umiejętnościach. Powtarzało się tam medyczne wykształcenie. Poza tym obsługa radia, umiejętność latania helikopterem, samolotem, wojskowym odrzutowcem. Rourke był dobrym strzelcem, zwykle używał automatycznego colta, kaliber czterdzieści pięć lub Magnum 357.

Generał przyznał, że pomimo różnic politycznych i ideologicznych, byli bardzo do siebie podobni. Obaj robili dobrze to, co do nich należało. Byli ludźmi czynu.

Jakże inny był Karamazow: zimny jak lód, wyrachowany, zdolny do wszystkiego.

Warakow nachmurzył się. „Za pobicie Natalii Karamazow musi zginąć” – pomyślał po raz kolejny.

Zadzwoił telefon.

– Warakow – rzucił oschle. Dzwoniła telefonistka. Miał odbyć rozmowę z człowiekiem, który należał do grupy najbliższych doradców prezydenta, obecnie na usługach Rosjan. Czekał chwilę na połączenie.

– Halo, tak, Warakow. Nareszcie... Ty jesteś też kimś w rodzaju generała, jak słyszałem – nie lubił zdrajców. Chociaż byli użyteczni, budzili w nim obrzydzenie.

– Tak jest – odparł tamten.

– Randan Soames, dowódca paramilitarnych sił Teksasu, jeden z zaufanych ludzi prezydenta Chambersa. Człowiek, który odwiedził Rosję 12 lat temu. Teraz pracuje dla nas i przed wybuchem wojny dostarczył nam licznych kopii tajnych kartotek z amerykańskiego elektronicznego systemu danych. Bardzo mi miło – rzekł Warakow.

– Wszystko się zgadza, panie generale.

– Słyszałem, że byłeś oskarżony o czyny nierządne względem dzieci?

– Panie generale, to nie jest temat...

– Osobiście nigdy nie zaangażowałbym cię do wywiadu. Jesteś gorszy niż barbarzyńca, gorszy niż zwierzę. Nie zawahałbym się poinformować twoich amerykańskich przyjaciół, kim jesteś, co zrobiłeś dla nas i dlaczego. Jasne? – Warakow chciał szybko skończyć tę rozmowę.

– Ale panie generale...

– Zrobisz dokładnie to, co ci powiem. Jestem człowiekiem honoru, a ty nie. Nie masz nic do stracenia. Słuchaj! Wiem, że ten amerykański terrorysta, Rourke, obsesyjnie szuka żony i dzieci. Mieszkali przed wojną w Georgii. Wszystko wskazuje na to, że tam się udał. Jak go odnaleźć?

– Ale, proszę pana, ja nie jestem w stanie...

– Znajdziesz go dla mnie – przerwał mu Warakow – i powiadomisz, gdzie jest. Jeśli tego nie zrobisz, może cię spotkać wypadek... Daj mi znać w ciągu dwóch godzin.

– Ale ja muszę być ostrożny...

– Nie interesuje mnie, to. Wykonaj moje polecenie! Natychmiast!

Warakow rzucił słuchawkę i spojrzał na zegarek. Zgasił lampę na biurku i siedział w ciemności. Telefon zadzwonił po kwadransie.

– Tak, Soames. Oddział dowodzony przez kapitana Reeda? Zostawimy cię w spokoju, gwarantuję. Gdzie oni są? Aha. Akcja? To będzie łatwo sprawdzić. I naucz się, że są pewne rzeczy, o które nie martwi się terrorysta czy człowiek z Ruchu Oporu. I odwrotnie – są cele, z których osiągnięcia nie zrezygnuje żaden szanujący się członek Ruchu Oporu. Dlatego umierają tak szybko. Zrobiłeś, co do ciebie należało. Jesteś bezpieczny. Ale jeśli kiedykolwiek dojdzie do mnie, że dotknąłeś jakiegoś dziecka, dopadnę cię i zabiję własnymi rękoma.

Odłożył słuchawkę. Podniósł ją za chwilę znów.

– Tu Warakow. Skontaktuj mnie natychmiast z dowódcą Południowego Okręgu. Każ zatankować mój samolot i przygotować go do lotu. Znajdź moją sekretarkę. Niech spakuje mi walizkę.

Rozdział XXVII

– Komitety Oporu formują się w Tennessee, Alabamie, Pensylwanii, Karolinie Północnej i Południowej. Zaalarmujemy ich, by odszukali twoją żonę i dzieci, obiecuję ci – oznajmił z naciskiem Abner Fulsom. – I nie myśl, że nie współczujemy wam wszystkim. Rozumiemy waszą sytuację. Ty, Rourke, i wszyscy pomagający nam w walce z Czerwonymi, jesteście wytrwali i twardzi.

Rourke przypomniał sobie, że już spotkał kiedyś tego człowieka. Prowadził sklep z artykułami żelaznymi.

Zebrany na terenie parkingu Komitet Ruchu Oporu liczył około dwudziestu mężczyzn. Ich broń była zróżnicowana – od wyrafinowanej do zabawnie prymitywnej. Winchestery, colty, dubeltówki. Jeden z kolekcjonerów broni przekazał większość swoich okazów Ruchowi Oporu. „Niestety – pomyślał Rourke – ludzie, którzy mieli gro najlepszej broni, znajdowali się teraz gdzie indziej.”

– Co z Colfaxem? – zapytał Reed.

– Nie ma go. Gdzieś wyszedł, może wróci jutro wieczorem. Kto to wie... – Abner Fulsom uśmiechnął się, jego białe zęby błysnęły w świetle latarni.

– W porządku – powiedział Rourke, zmęczony już rozmową i całą sytuacją. – Gdzie ma być ta akcja? Jakiego oporu możemy oczekiwać? Jak się tam dostaniemy?

Darren Ball, dziwnie milczący, siedział z bronią na kolanach. Abner Fulsom zaczął mówić:

– Przed wojną, niedaleko miasta, było wielkie i nowoczesne centrum handlowe. Rosyjskie siły okupacyjne używają teraz tego kompleksu jako składu żywności, amunicji, a także bazy helikopterów. To jest naprawdę ogromny skład. Wyobraź sobie, że możemy ukraść mnóstwo pistoletów AK-47 oraz innej broni i amunicji. Wszystko, co tylko zdołamy unieść. Resztę wysadzimy. Kryptonim akcji: Ognista Kula.

– Coś jeszcze? – spytał Rourke Fulsoma.

– Na razie wszystko.

Rourke chciał coś powiedzieć, ale Darren Ball wpadł mu w słowo:

– Fulsom planuje akcję komandosów na umocniony obiekt militarny, jakim jest ten skład. Uważam, że nie możemy porywać się na to. Ostatnia akcja pochłonęła przecież tyle ofiar.

– Jaka ostatnia akcja? – zapytał Rourke.

– Ci przekłęci głupcy – zaczął Ball – zdecydowali się podłożyć dynamit pod posterunki strażnicze w centrum miasta, udało im się to częściowo. Zabili może z pół tuzina rosyjskich żołnierzy, ale zginęło jeszcze więcej naszych.

– Ilu ludzi brało w tym udział? – zapytał Rourke Fulsoma.

– Nie wiem dokładnie...

– Czy były i kobiety?

– Zawsze uważaliśmy, że kobiety nie są w akcjach zbyt przydatne...

– Kobiety robią tyle dla Ruchu Oporu, co mężczyźni. Niektóre z nich walczą nawet zaciekłej – zabrał głos Rourke. – Tragicznie ludzi, lekceważąc znaczenie kobiet. One mogą przecież dostać się niepostrzeżenie do wielu miejsc, nie wzbudzając takich podejrzeń jak mężczyźni. Do rzeczy: jakie materiały wybuchowe macie przygotowane na tę akcję?

– Mamy trochę dynamitu. Sądzę, że ukradniemy materiały wybuchowe tam, na miejscu – odrzekł Fulsom. Wyglądał na trochę zdenerwowanego.

Rourke pokręcił głową, mówiąc:

– A co będzie, jeśli tamtejszy materiał okaże się zwietrzały? A jeśli nie będzie tam detonatorów? To nie akcja, to masowe samobójstwo. Nie liczcie na mnie – zakończył Rourke zdejmując kciuk z uchwytu pistoletu. Szybkim krokiem zmierzał do wyjścia z parkingu.

– Zaczekaj! Rourke!

– Co?

– Posłuchaj. Potrzebujemy akcji takiej jak ta. Musimy pokazać ludziom i Rosjanom, że walczymy, że nie jesteśmy bierni. To będzie taka spektakularna akcja. Zdobęde jeszcze trochę dynamitu.

– Do diabła – szepnął Rourke, wracając do zebranych ludzi. „Jak większość komitetów – pomyślał – i ten nie działa logicznie”.

Rozdział XXVIII

– Mam zamiar przyłączyć się do Ruchu Oporu i to już jest postanowione – powiedział rudowłosy chłopak.

Sarah odwróciła się i spojrzała na Thada, syna Mary. Mógł mieć około szesnastu lat. Sarah objęła rękami kolana, osłaniając spódnicą nogi przed moskitami.

– Thad, nie sądzisz, że twoja matka potrzebuje w domu mężczyzny? Twój ojciec, bracia, wszyscy są w Ruchu Oporu.

Słysząc było Michaela i Ann bawiących się w domu. Ich beztroski śmiech i pisk rozlegał się zupełnie jak przed wojną.

– Sarah ma rację, chłopcze, potrzebujemy mężczyzny – powiedziała łagodnie Mary Molliner. Sarah Rourke spojrzała w niebo, na konstelacje gwiazd.

– Rosjanie budują duży fort czy bazę niedaleko dawnej Chattanooga – zaczął chłopiec znowu. Jego głos zabrzmiał bardzo nisko.

– Chattanooga jest tam w dalszym ciągu, Thad – wyjaśniła Sarah. – Ale wszyscy ludzie zginęli. Nie sądzę, żebyś chciał ujrzeć Chattanooga. To miasto śmierci. Żadnych mężczyzn, kobiet, dzieci. Ani jednego kota, psa czy ptaka. Tylko brązowo-żółta trawa i umarłe drzewa. Nie chciałbyś na pewno tego zobaczyć, Thad.

– Rosjanie mają tam bazę – nalegał Thad. – Musimy im przeszkodzić, zanim ukończą całą budowę.

„Chłopiec pali się do działania” – pomyślała Sarah. Roześmiała się głośno. „Prawie wszyscy mężczyźni są tacy sami” – pomyślała. Thad i jej mąż, John, myśleli podobnie. Ich zadaniem było teraz iść i walczyć. Mary i ona muszą czekać. Muszą troszczyć się o dom, o dzieci, opatrywać rany.

Sarah wpatrywała się w dziwną, lekką mgłę dookoła księżyca, pragnąc, żeby John był teraz z nią i mógł jej to zjawisko wyjaśnić. Czy to świat się kończy? Ta gorączka, zimno, ulewne deszcze, nietypowe zachody słońca?

– Mary – głos jej drżał lekko – muszę wyjechać za kilka dni, bo jeżeli nie, to...

Odeszła od barierki, głos jej drżał. „Jeśli nie – wyszeptala do siebie – nie będę miała siły już nic zrobić i zostanę tutaj...”

Rozdział XXIX

Pułkownik Wasyl Korciński odłożył słuchawkę radiotelefonu. Odszedł od biurka i zbliżył się do małego lustra na drzwiach toalety. Przyglądał rękoma jasne włosy, przyjrzał się swojej twarzy. Uśmiechnął się. Zadowolony był z zaufania, jakim obdarzył go Warakow.

Podniósł słuchawkę i czekał. Połączono go natychmiast.

– Tu pułkownik Korciński. Alert sił antyterrorystycznych. Mają zebrać się za pięć minut.

Odłożył słuchawkę, podszedł znów do lustra, zdjął czapkę. Zauważył zmarszczkę pod lewym okiem. Jeszcze raz przyglądał włosy i mundur. Otworzył futerał na broń, sprawdził Makarowa. Gdy wszedł do hallu, zadźwięczały syreny. Kroczył zdecydowanie – pewny siebie. Skręcił w boczny korytarz, przez oszkloną ścianę ujrzał plac, gdzie formowały się oddziały antyterrorystyczne. Przeszedł przez hall i zbiegł po schodach. Potem skręcił w lewo, pchnął mocno podwójne, szklane drzwi i spojrzał na swą postać, odbitą w szybie. Wyszedł na kamienny ganek. Oficerowie zasalutowali mu. Oddał im salut z wystudiowaną niedbałością. Adiutant podbiegł do niego i podał mu płaszcz i laseczkę. Korciński narzucił płaszcz, ale nie zapiął go. Przytrzymując laseczkę łokciem, wyjął skórkowe, obcisłe rękawice i wciągnął je na zadbane dłonie.

Uderzył laseczką po prawym udzie, patrząc nerwowo na zegarek. Minęły cztery minuty. Mężczyźni byli prawie gotowi, a ciężarówki i patrole motocyklowe przygotowane do drogi. Jego służbowy samochód czekał.

Stał na schodkach i zaczął mówić wyrazistym, modulowanym głosem, wsłuchując się w siebie. Lubił słyszeć, jak jego głos rezonuje wśród wysokich budynków.

– Zostaliśmy powiadomieni o terrorystycznym ataku na wielką skalę. Ma być przeprowadzony niedaleko stąd.

Lubił zachować pewien element tajemniczości. To, co mówił, wydawało się przez to bardziej doniosłe i ważne. Kontynuował:

– Mamy ich przetrzymać, dopóki nie wyczerpie się im amunicja, potem przystąpić do walki wręcz i pojmać żywych. Jest wśród nich jeden człowiek: wysoki, ciemnowłosy, z wysokim czołem. Nosi zwykłe okulary przeciwsłoneczne. Ma sporo broni i będzie wprawnie się nią posługiwał. Może go schwytać tylko specjalny oddział. Człowiek ten musi być wzięty żywcem! Wyruszymy w kierunku lądowiska helikopterów i składu żywności.

Stał teraz przez chwilę cicho, obserwując twarze ludzi. Gdy wszystko było już gotowe do odjazdu, krzyknął:

– Walczymy o wyzwolenie robotników całego świata i dlatego sami jesteście niezwyciężeni!

Żołnierze wydali okrzyk. Pomachał im laseczką. Zawsze podziwiał czarodziejską formułę

nazistów: najważniejszy jest duch.

Rozdział XXX

Noc była chłodna, a powietrze nad rzeką wilgotne. Woda w rzece pluskała rytmicznie, uderzając o kadłub gumowej łodzi. Łódź Rourke'a i trzy inne zatrzymały się. Ludzie wypatrywali zarysu prawego brzegu, gdzie miał znajdować się wlot kanału burzowego. Rourke sprawdził w ciemności broń – colta CAR-15, pistolety Detonics i czterdziestkę piątkę na biodrze. Był zdenerwowany: wyprawa miała w sobie coś podejrzanego, głównie dlatego, że brali w niej udział niedoświadczeni ludzie. Zazdrościł Paulowi, że nie był jeszcze na tyle zdrowy, żeby pójść z nim.

Rourke podniósł kołnierz skórzanej kurtki i zapiął guziki koszuli. Sprawdził zapięcie na płóciennej torbie na ramieniu. Miał w niej bagnet. Nogawki dzinsów podwinął na wysokość wojskowych butów. Ubrany był dość ciepło, jak na tę porę roku. – Tam, za skałami i tymi chwastami – usłyszał ściszony głos Fulsoma. Rourke dostrzegł jego sylwetkę w ciemności, a potem kierunek, który tamten wskazywał ręką. Spojrzał tam i zobaczył zarys okrągłego wjazdu kanału burzowego. Ruszyli w tamtą stronę. Dotarłszy do celu, Rourke zaczął oglądać dokładnie otwór wejściowy.

– Co to jest, do diabła? – wyszeptał Reed, wskazując na srebrną kulę utkaną z czegoś przypominającego nici.

– Gniazdo pajaków. Spotyka się je często w gałęziach drzew.

– Paskudztwo – Reed zaczął wyjmować zza pasa bagnet, żeby rozbić gniazdo.

Rourke wstrzymał go.

– Nigdy nie zabijaj niczego, jeśli nie musisz. Rourke stanął obok Reeda i rozejrzał się. Wyjął zapalniczkę i zapalił małe, ciemne cygaro. Popatrzył na fosforyzującą tarczę zegarka. Potem oświetlił zapalniczką wejście do tunelu, przesuwając ją z góry do dołu.

– Co o tym myślisz, Rourke? – spytał Fulsom.

– Mam na imię John. Co myślę o tym kanale burzowym? Może to i miłe miejsce do zwiedzania, ale... – odsunął ręką pajęczynę na górze wjazdu i wsunął głowę. Wszedł. Czuł jak nogi grzęzną mu w błocie. Zgasił zapalniczkę i sięgnął do pasa pod kurtką. Wyjął latarkę. Gdy światło wypełniło tunel, zobaczył jakieś cienie, usłyszał piski, drapanie.

– Co, do diabła? – zaniepokoił się Reed.

– To chyba nietoperze – odezwał się Fulsom.

– Nietoperze! – wstrząsnął się z obrzydzenia Reed.

– Te są małe, ale nie daj się podrapać albo ugryźć, przenoszą czasem hydrofobię.

Przedzierali się dalej. Słyszał wlokących się za nim mężczyzn. Dwóch ludzi Reeda i paru Fulsoma, w tym Darren Ball, pozostało przy łodziach.

– Może są tu i węże? – mruczał Reed.

– Większość jadowitych węży nie uśmierca, najwyżej się rozchorujesz. Chyba że nie reagujesz na jad. – Rourke pocieszał Reeda, oświetlając latarką brunatno-czerwone błoto, odgarniając pajęczyny. Kanał burzowy miał niecałe dwa metry średnicy. Można było iść albo środkiem, przez najgłębsze błoto, albo, schylając głowę, brzegiem. Rourke szedł środkiem. Siedemnastu mężczyzn szło rzędem. Rourke kroczył pierwszy, próbując ocenić odległość. Nie dowierzał Fulsomowi, który mówił, że przejście to będzie krótkim spacerem. Szczur przebiegł mu koło stopy. Tunel skręcał trochę. Rourke zatrzymał się i oświetlił rój nietoperzy zwieszających się ze stropu. Reed znów chciał sięgnąć po nóż, ale Rourke powstrzymał go.

Po kilku minutach Rourke zatrzymał się i skierował światło latarki na Fulsoma.

– Zrobiliśmy już milę i nie widać końca. Ile jeszcze?

– Mój brat budował ten odpływ. Mówił, że ma około półtora kilometra.

– I ma odgałęzienie wychodzące z boku parkingu, a potem schodzi z powrotem do centrum handlowego, tak?

– Tak – wyszeptał Fulsom.

– Gdzie jest teraz twój brat?

– Nie żyje. Był w Atlancie, gdy została zbombardowana.

Rourke westchnął.

– Przykro mi – odwrócił się i oświetlił latarką ściany kanału. Nic nie mówiąc ruszył dalej. Gdyby pamięć Fulsoma nie szwankowała, odgałęzienie to powinno się wkrótce pojawić. Poprawił broń i ruszył dalej. Po kolejnych pięciu minutach zatrzymał się. Z przodu pojawiło się przyćmione światło. Ruszył. Smród w tunelu stał się bardziej intensywny, woda była głębsza. Zbliżali się do wylotu. Rourke użył, na szczęście, płynu przeciwko insektom. Roje much i moskitów krążyły wszędzie. Był pewien, że ukąszenie niektórych mogło powodować śpiączkę.

Stanęli u wylotu tunelu. W świetle księżycy widać było ciężką kratę. Rourke przysunął się cicho i bezszelestnie do okratowania. Oddychał głęboko, wchłaniając czyste, nocne powietrze. Krata była siatką kwadratów o boku 20 cm. Trzymała się dzięki cienkiej warstwie zaprawy cementowej.

Rourke nie słyszał żadnego hałasu na zewnątrz. Cisza była złowieszcza. Wyjrzał. Wziął głęboki haust powietrza. Reed, Fulsom i inni przysiedli przy ścianie, odpoczywali.

– Potrzebuję paru bagnetów i kamieni. Musimy wybić kratę. Czas nagli.

Spojrzał na zegarek. Było już po północy, a jeszcze nie dotarli do bazy.

Rourke i Reed zaczęli rozkruszać cement. Po chwili Rourke przyłożył palec do ust. Przerwali pracę. Nasłuchiwał. Żadnych odgłosów. Miejsce wydawało się wyludnione. To właśnie było podejrzane. Odczekał chwilę, potem wsadził czubek bagnetu w zaprawę i wysunął jedną cegłę.

– Uważaj na oczy! – ostrzegł Reeda. Z rozkruszonego cementu leciał pył. John uderzał kamieniem w bagnet, znowu oderwał kawał zaprawy. Po dziesięciu minutach krata zaczęła się ruszać, nie dała się jednak wyjąć. Ponownie zaczęli kruszyć cement, prawie odłupali go z obydwu stron. Naparli na kratę po raz drugi. Tym razem drgnęła i łatwo dała się wyjąć. Rourke i Reed przytrzymali ją, żeby nie wypadła z łomotem. Zdejmowali powoli.

Rourke pierwszy wyszedł z kanału burzowego i rozejrzał się. Parking był wyjątkowo rozległy, jak na podmiejskie centrum handlowe. Widział żółte linie pociągnięte na asfalcie, oznaczające miejsca do parkowania. Parę zardzewiałych wraków samochodów stało z boku. Dalej, w stronę pawilonów handlowych, ustawione były sowieckie ciężarówki.

– Co się dzieje? Odwrócił się. To był Reed.

– Ta cała sprawa śmierdzi. Nie pójdziemy już dalej przez kanał, przetniemy plac i dostaniemy się do budynków. Tu jest jakaś pułapka. Jedyne, co możemy zrobić, to spróbować ją obejść.

– Fulsom radził inaczej.

– Jest źle, do diabła. Pozwolę Fulsomowi prowadzić wojnę, jeśli on pozwoli mi sprzedawać towary żelazne. Chodźmy.

Rourke wszedł do kanału. Odciągnął na bok Fulsoma, położył mu rękę na ramieniu.

– Jakaś pułapka wisi w powietrzu. Czuję to. Dojdziemy przez parking do budynków. Paru wejdzie na dach po budkach wartowniczych, rozejrzemy się...

– Dlaczego nie przez kanał, tak jak dotąd?

– Jeśli chcesz iść tamtędy, to nie licz na mnie. Fulsom zacisnął usta, skinął ponuro głową.

– W porządku, ty dowodzisz.

– Wezmę Reeda i dwóch jego wywiadowców. Skinął na Reeda.

– Weź dwóch swoich chłopaków i chodźcie ze mną – rzekł bez entuzjazmu.

– Na pierwszy strzał od nas lub od tamtych – uciekajcie. Cofajcie się z powrotem tunelem – rzekł Rourke do Fulsoma.

Wyjął lornetkę i przez chwilę obserwował teren parkingu. Pokręcił głową. Nie było śladu wartowników. Nałożył okulary, zapiał wysoko kurtkę, ale chłód, który czuł stale w środku, nie mijał.

Rozdział XXXI

– Czy to jest kompletny plan tego budynku, poruczniku?

– Tak, towarzyszu pułkowniku – potwierdził świeżo ogolony, młody oficer, stojąc na baczność obok otwartych drzwi wozu pułkownika Korcińskiego.

– Wspaniale. Ten odpływ burzowy jest tutaj – wskazał Korciński. Porucznik pochylił się, studiując plan w świetle latarki.

– Tak, towarzyszu pułkowniku!

– Będziesz dowódcą tej części operacji. Nie zawieź. Weź pluton ludzi. Zbadacie, czy jacyś obcy są w pobliżu lub wewnątrz kanału. Potem idźcie nim w kierunku parkingu. Są pytania?

– Wszystko jasne, towarzyszu pułkowniku.

– Możesz odejść – Korciński starał się złagodzić władczy ton swego głosu.

Zwrócił się do stojącego obok kapitana.

– Wiem, że ten człowiek, którego poszukujemy, Rourke, jest dobrze wyszkolony i doświadczony. Będzie bez wątplenia zaniepokojony tym, że nie ma nikogo na terenie parkingu.

Kapitan pochylił się nad planem, który trzymał Korciński. Pułkownik mówił dalej:

– Jest jednak wyjście. Zajmiecie pozycje na odległym końcu parkingowego placu, w razie gdyby Rourke i inni zdecydowali się wycofać. Innymi słowy, jeżeli dostrzeżecie ich, obserwujcie dokładnie, ale nie róbcie nic. Utrzymujcie ciszę radiową, oni są nastawieni na naszą zwykłą częstotliwość. Szczęki potrzasku zamkną się, gdy wejdą do budynków albo spróbują uciekać. Pamiętaj, kapitanie. Bierzcie Rourke’a żywego.

– Tak jest, towarzyszu pułkowniku – rzekł kapitan salutując.

– Czy samolot z Chicago już wylądował? – zapytał go jeszcze Korciński.

– Tak, towarzyszu pułkowniku, przed paroma minutami.

– To dobrze. Kobieta z samolotu ma być przywieziona tutaj i trzymana w bezpiecznym miejscu. O nic nie pytać. Zrozumiano?

– Tak, towarzyszu pułkowniku. Wystudiowanym ruchem, leniwie, Korciński oddał salut.

Rozdział XXXII

Rourke rzucił się biegiem przez parking w kierunku trawiastego pagórka, a osiągnąwszy cel położył się na ziemi. Musiał poczekać na Reeda i resztę. Popatrzył przez lornetkę, próbując spenetrować dach budynku, ale niczego nie dostrzegł. Tymczasem Reed był już w połowie drogi przez parking, a jeden z jego ludzi wychodził przez właz.

Rourke położył się na plecach, patrząc na nocne niebo. Zastanawiał się, czy już spadł radioaktywny deszcz! Było bardzo mało czasu na to, by odnaleźć Sarah i dzieci, jeśli w ogóle był jeszcze czas...

A co będzie, gdy odnajdzie Sarah, Michaela, Ann? Życie w jaskini? A jeśli skażona woda przesiąkła przez grunt do jego kryjówki? Prowadził systematyczne badania – ale jeśli to się już stało? Nie miał wyboru – musiał odszukać rodzinę i utrzymać przy życiu. A jeśli oni już nie żyją?

– Widzisz coś? – zapytał zdyszany Reed.

– Nie, nic – mruknął Rourke, obserwując teren parkingu. Ostatni członek grupy biegł już w ich kierunku. Rourke wątpił, czy ktoś będzie do nich strzelał. Był niemal pewien, że komuniści przygotowali zasadzkę. Jednak gdyby chcieli zabić komandosów, po prostu zamknęliby właz kanału i wystrzelaliby ich, albo wytruli gazem.

Ostatni z ludzi Reeda dopadł miejsca, w którym znajdowali się komandosi. Rourke odczekał, aż tamten odetchnie. Potem dał znak ręką i wszyscy podczołgali się do szczytu pagórka. Sam rozglądał się uważnie wkoło, trzymając nisko głowę. Wzdłuż budynków zaparkowane były ciężarówki. Magazyny centrum handlowego były oświetlone od wewnątrz. Rourke leżał płasko na ziemi, zwrócił się do Reeda:

– Podciągnę się i wdrapię na najniższy dach. To jest niecałe dwa metry od ziemi. Potem wy dwaj zróbcie to samo. Kapral niech zostanie tu. Każ mu poczekać pięć minut.

Nie czekał na odpowiedź. Pobiegł do najbliższego budynku, z pistoletem gotowym do strzału. Podskoczył do występu dachu, podciągnął się błyskawicznie i wdrapał na górę. Położył się i spojrział przez teleskop. Podczołgał się za urządzenia klimatyzacyjne. Zobaczył ludzi na sąsiednim, wyższym budynku.

Tylko głupi dowódca pozostawiłby tyle niestrzeżonej powierzchni dachu.

Oglądnał się za siebie. Nadchodził Reed, a za nim ktoś jeszcze. Dał im sygnał, podeszli do niego. Spojrzeli zza urządzeń klimatyzacyjnych.

– Pułapka – rzekł Rourke wskazując żołnierzy na następnym obiekcie, – Poczekajcie chwilę.

Odbezpieczył broń i podciągnął się do kolejnego dachu. Położył się płasko na smołowanej powierzchni. Najbliższy żołnierz stał tyłem do niego, kilkanaście metrów dalej. Podczołgał się do tej

strony, która widoczna była z pagórka. Spoglądając ze skraju dachu w dół zobaczył coś, co zmroziło mu krew w żyłach. Spory oddział czekał za drewnianym ogrodzeniem w rogu parkingu. Przeczłogał się w przeciwnym kierunku – ta strona budynku wychodziła na centrum handlowe. Położył się przy krawędzi dachu i spojrzał – stały tam sowieckie pojazdy opancerzone, otaczając kilkadziesiąt helikopterów wojskowych. Oddziały motocyklistów skupione były wokół jakiegoś samochodu.

– Cholera – mruknął wracając do Reeda.

– No i co?

– Pocałuj mnie w dupę! – rzekł Rourke, podchodząc do linii dachu przed pagórkiem. Kapral akurat wspinał się do nich. Rourke chwycił go za ramiona i odwrócił.

– Wracaj na dół, kapralu – rzekł i sam zeskoczył na trawę.

– Za mną! – zawołał i rzucił się do szaleńczego biegu przez parking. Rourke zobaczył kogoś u wylotu kanału. Fulsom? Mężczyzna machał rękami. Wyglądał, jakby się dusił. Zgięty w pół, zaczął biec w ich kierunku.

Fulsom krzyczał coś, a Rourke próbował dawać mu znaki rękami, żeby milczał. Ale Fulsom wciąż coś wołał. Rourke nie mógł rozpoznać słów, słyszał tylko, jak tamten kaszle i krztusi się. Spojrzał za siebie. Dach zaroił się od sowieckich żołnierzy, parking też nie był już pusty. Zobaczył plandeki rosyjskich ciężarówek, dobiegł go także warkot ruszających motocykli w drugiej części centrum handlowego.

– Gaz! – zdołał wykrztusić Fulsom, po czym nagle upadł na ziemię.

Rourke spojrzał w górę na dach i zobaczył, jak sowiecki oficer szarpie jakiegoś żołnierza, bijąc go po twarzy. Wtedy rozległ się głos przez megafon:

– Odłóżcie broń! Poddajcie się, a nikomu nic się nie stanie!

Rourke przytknął broń do ramienia, spojrzał przez teleskop na strzelca, który przed chwilą mierzył do Fulsoma i pociągnął za spust.

Żołnierz potknął się, zachwiał i spadł z dachu. Rourke stał bez ruchu, z bronią przy ramieniu. Wiedział, że wrogów było zbyt wielu. Ustawił celownik na oficera. Megafon zadudnił znowu:

– Rzućcie broń! Nic wam się nie stanie!

– Pocałujcie mnie w dupę! – wrzasnął Rourke najgłośniej jak mógł i zaczął biec.

Rozdział XXXIII

– Zatrzymaj się! On jest tam! – krzyknął do kierowcy Korciński i wyskoczył z samochodu, zanim pojazd stanął.

Zobaczył człowieka, którego szukał. John Thomas Rourke – wysoki, szczupły, w brązowej skórzanej kurtce, z pistoletem w ręku. Lekka mgła, którą widział wcześniej przez szyby samochodu, zmieniła się w siąpiący deszcz. Nie zważał na to. Ruszył do przodu, krzycząc do dowódcy oddziału motocyklistów:

– Złapcie tego człowieka! Ma być żywy! Innych niech szlag trafi! Łapcie go!

– Lornetkę – rozkazał kierowcy, który po chwili przyniósł mu ją z samochodu.

Korciński patrzył, jak Rourke biegnie i strzela; żołnierze biegli za nim, ale nie oddawali strzałów. Zbliżając się padali od jego kul.

W pewnej chwili Rourke chciał strzelić, ale magazynek był już pusty. Trzech żołnierzy otoczyło go, potem nagle jeden z nich padł. Rozległ się huk broni cięższego kalibru. Pistolet w ręku Rourke'a błyszczał w światłach ciężarówek, plując ogniem w ciemności. Dwaj następni ludzie Korcińskiego padli na ziemię. A John biegł dalej.

– Złapcie go! Musicie go zatrzymać! Korcińskiego kusiło, żeby kazać ludziom zastrzelić tego przekłętą Amerykanina.

– Łapcie tego człowieka! Nie zrańcie go! – krzyknął jednak. Nie mógł przecież złamać rozkazu.

Rozdział XXXIV

Motocyklista był tuż za nim. Rourke odskoczył i gdy tamten mijał go, wyciągnął pistolet i uderzył go w podbródek. Rosjanin spadł z motoru, który potoczył się parę metrów dalej i przewrócił.

Rourke tymczasem ponownie załadował automatycznego colta, podniósł leżący motor i zapalił. Wskoczył, przyspieszając obroty silnika. Jechał szerokim łukiem, mając za plecami kilkunastu rosyjskich motocyklistów. Uchwycił spojrzenie mężczyzny stojącego obok samochodu z lornetką w ręku.

„Pokażę ci dobry show, towarzyszu” – pomyślał skracając gwałtownie w lewo, w stronę pagórka.

Zacisnął ręce na kierownicy, pochylił się i błyskawicznie wjechał na wzgórze. Spojrzał na drugą stronę parkingu. Było tam jeszcze więcej motocyklistów oraz ciężarówki, z których wysypali się żołnierze. Rourke skręcił i zjechał z pagórka. Naprzeciw niemu pędziło kilkadziesiąt motorów, zawrócił więc i ponownie wjechał na wzgórze. Wtem spostrzegł chmurę pomarańczowego dymu zbliżającą się do niego. Odwrócił się. Ścigający go motocykliści mieli na twarzach maski przeciwgazowe.

Skręcił, sześciu Rosjan wciąż jechało tuż za nim. Wyciągnął broń i nie zatrzymując maszyny zaczął strzelać. Postrzelił dwóch żołnierzy, pozostali zwolnili, trzymając się teraz od niego w nieco większej odległości. Zawrócił ostro, przejeżdżając obok jednego z leżących i zerwał mu maskę twarzy. Nałożył ją sobie, wciąż krążąc wokół pagórka.

Pomarańczowa chmura gęstniała, utrudniając mu widoczność. Skręcił znowu, pędząc w poprzek placu, a za nim, jak eskorta, rosyjscy motocykliści.

Kilku żołnierzy zablokowało mu drogę motorami. Nie mógł się zatrzymać, skręcił więc i zeskoczył z maszyny. Rourke upadł na ziemię i potoczył się parę metrów.

Próbował podnieść się, zerwał maskę, ale nie mógł wstać. Kilkunastu żołnierzy piechoty ruszyło na niego. Lewą ręką wyjął pistolet Detonics spod prawego ramienia i pociągnął za spust. Colta odrzucił, był już pusty. Wystrzelił w kierunku nadbiegających żołnierzy. Kilku padło, ale w magazynku skończyła się amunicja. Po ostatnim strzale walnął kolbą najbliższego napastnika. Wyciągnął bagnet zza pasa, przeciągnął nim po gardle jednego z Rosjan.

Zakrwawione ostrze skierował w stronę innego.

– Chcecie mnie dostać żywego, więc musicie za to zapłacić!

Żołnierze zbliżali się, wszyscy uzbrojeni w noże. Rourke ciał bagnetem niemal na oślep. Wielu napastników padło, ale wciąż pojawiali się nowi. W pewnym momencie bagnet Rourke'a utkwił w piersi jakiegoś żołnierza i nie dał już się wyjąć – sięgnął wtedy po nóż. Wrogowie rozstępowali

się pod jego ciosami. Zagłębił nóż w czyimś brzuchu i próbował go wyciągnąć. Nagle poczuł uderzenie w ramię kolba karabinu. Pomimo przejmującego bólu rzucił się na najbliższego mężczyznę, złapał go lewą ręką za gardło, a prawą – w tej chwili mniej sprawną – zmiażdżył mu tchawicę. Ktoś chwycił go za kolana, Rourke stracił równowagę i upadł na plecy. Mocnym kopniakiem uwolnił się od Rosjanina, niestety, rzucili się na niego inni, przygniatając do ziemi. Leżąc, Rourke wciąż bronił się i zadawał ciosy. Walczył, szamocząc się z kimś, gdy nagle usłyszał głos:

– Nie mogę cię zabić. Ale tym gorzej dla ciebie – twarz potężnego mężczyzny była pełna wściekłości. Mówił złą, lecz zrozumiałą angielszczyzną.

Rosjanin ruszył na niego. Rourke, uwolniwszy się z uścisku innego żołnierza, zerwał się i znieacka kopnął atakującego w krocze, a gdy ten zgiął się, kolaniem uderzył go w szczękę. Ktoś z tyłu rzucił się na niego, ale Rourke strącił go z siebie natychmiast.

Wysoki Rosjanin wyglądał, jakby miał dosyć. Twarz mu krwawiła i zataczał się, jakby był pijany.

Żołnierze znowu otoczyli szczelnie Rourke'a. Poprzez nich dojrzał jednak Fulsoma, którego ramię wyglądało jak krwawa miazga. Żył. Obok niego stał mężczyzna w mundurze oficera i trzymał pistolet w ręku. Lufa przystawiona była do skroni Fulsoma.

– Rourke, poddaj się, bo go zastrzelę. Rozumiesz? Rourke spojrział na mężczyznę. Od razu zorientował się, że tamten był zdecydowany to zrobić.

– Punkt dla ciebie – powiedział. Potrząsnął obolałą głową i przetarł ręką czoło.

Rozdział XXXV

– Nie musiałeś tego robić, Rourke.

– No cóż. A gdybym ci powiedział, że posiadacz sklepu z artykułami żelaznymi uratował mi kiedyś życie?

Fulsom uśmiechnął się z trudem. Rourke klepnął go w plecy, potem spojrzał przez dziurę w plandecie, by zorientować się, dokąd ich wiozą. Jechali przez las. Rourke odgadywał powód ostatnich wydarzeń, ale nie dostrzegł w tym wszystkim logiki. Gdyby planowali masową egzekucję, dlaczego wpuścili do kanału nieszkodliwy gaz, który zaledwie wykurzył mężczyzn na zewnątrz. Dlaczego tak łagodnie potraktowali pilnujących łodzi przy kanale burzowym? Dlaczego tak troskliwie bandażowali ramię i przykładali antyseptyczny tampon do twarzy Rourke'a? Dlaczego?

Ciężarówka zatrzymała się i po chwili pojawiła się nad klapą platformy twarz Korcińskiego. Uśmiechnął się i przedstawił Rourke'owi.

– Proszę bardzo, panie Rourke, proszę wysiadać. Nic się nikomu nie stanie. Tylko proszę – żadnej bijatyki.

Rourke wzruszył ramionami. Przeszedł obok Fulsoma i wyskoczył z ciężarówki. Idąc obok Korcińskiego rzekł:

– Twój angielski jest całkiem dobry. Korciński zasalutował mówiąc:

– Dziękuję. Wiem, że jesteś pisarzem. Doceniam taki komplement. Masz również wykształcenie medyczne, prawda?

– Ostatnio nie leczyłem, lecz raczej uszkadzałem ciała.

Korciński roześmiał się, wyciągnął rękę i skinął na młodego żołnierza, który niósł broń Rourke'a.

– Iwan, podejdź tu.

– Co, do diabła? – mruknął Rourke.

– Proszę bardzo. Broń została załadowana, sprawdzona, dla pewności. Rozumiem, że może być potrzebna...

– Żartujesz – rzekł Rourke.

– Nie, po prostu dbam o twoje interesy. Karabin nie został uszkodzony. Amerykańska broń zawsze wydawała mi się mocna i niezawodna. Weź ją, proszę.

Rourke wziął dwa pistolety Detonics, schował je, potem colta Government. Sprawdził – był nabyty. Patrzył na Korcińskiego i na swoją odzyskaną broń. Bagnet i nóż schował do futerału.

– Pozwoliliśmy sobie naładować magazynki, nie mieliśmy jednak odpowiedniej amunicji do amerykańskiego pistoletu.

Rourke wziął CAR-15, obejrzał go – był sprawny, z nietkniętym teleskopem.

– Znaleźliśmy twój motocykl niedaleko kina dla zmotoryzowanych. Przypuszczaliśmy, że to twój. Czeka na ciebie.

– Skąd wiedzieliście o akcji?

– Bardzo proste. Zagroziliśmy Fulsomowi. Musiał nam powiedzieć. Czuł się zobowiązany. Mamy wszystkich twoich ludzi.

– Do diabła – rzekł Rourke – oni nie są moimi ludźmi.

– Kimkolwiek są, jeśli będą z nami współdziałać, zostaną zwolnieni. Jeśli nie – będą rozstrzelani. Ale jeśli zostaną puszczeni wolno, nie zwrócimy im broni, tak jak tobie. Chodź, jest tutaj kobieta, którą na pewno chciałbyś poznać.

Rourke poszedł za sowieckim pułkownikiem wąską ścieżką w głąb lasu. Wciąż nie wiedział, co tamten planował. Na małej polanie czekał służbowy samochód. W jego reflektorach wirowały roje nocnych muszek. Na krawędzi światła stała młoda kobieta w rosyjskim mundurze.

Podeszli do niej.

– Ta młoda kobieta ma osobisty interes do ciebie, Rourke.

– Co mnie powstrzyma przed zastrzeleniem was obojga? – powiedział Rourke, stojąc tuż za Korcińskim.

– Nie jesteś mordercą. A gdybyś zrobił taką nieprzemyślaną rzecz, albo spróbował wziąć jedno z nas jako zakładnika, wszyscy twoi ludzie zostaliby rozstrzelani.

– Nie jestem mordercą, ale ty – tak.

– Patrząc z twojego punktu widzenia – owszem – rzekł Korciński odchodząc.

Rourke spojrzał na kobietę. Była wysoka i młoda.

– Kto to...?

– Jestem osobistą sekretarką generała Ishmaela Warakowa. Prosił, żebym oddała panu ten list. Zwróci mi go pan po przeczytaniu.

Rourke wziął kopertę, złamał pieczęć z czerwonego wosku i rozwinął kartkę. Zaczął czytać „Rourke. Zrobiłeś na mnie wrażenie człowieka kompetentnego i odważnego. Treść tego listu ma pozostać poufna. Czy mogę mieć na to twoje słowo? Oto, co chcę zaproponować: Moja bratanica Natalia, żona Władimira Karamazowa, lubi cię i wiem, że chociaż nic nie zaszło między wami, jesteście sobie bliscy jak przyjaciele. Mąż ostatnio okrutnie ją pobił, omal nie zabił. Ona jednak jest wierną żoną i pomimo tego co zaszło, chce do niego wrócić. Mam powody, by przypuszczać, że Karamazow tym razem na pewno ją zabije. On jest szalony. Z powodów politycznych nie mogę sam go zabić, co – proszę mi wierzyć – zrobiłbym z radością. Chcę więc, żebyś ty to dla mnie zrobił w sposób, jaki uznasz za najlepszy. Załączam projektowaną na jutro trasę podróży Karamazowa. Jeśli wykonasz to, o co cię proszę, wszyscy twoi towarzysze będą zwolnieni, a ty będziesz mógł to uznać za swoją zasługę. I, co ważne, zapewnione będzie bezpieczeństwo Natalii. Proszę o to, jak człowiek honoru innego człowieka honoru, pomimo naszych różnic politycznych. Karamazow to zwierzę i dla dobra wszystkich powinien zostać zlikwidowany”.

List był podpisany dużą literą „W”. Rourke złożył kartkę i zwrócił list kobiecie, patrząc jej w oczy.

– Kazano mi zapytać o odpowiedź. Tak czy nie? – zapytała w dość dobrej angielszczyźnie.

– Dlaczego ja?

– Nie wiem. Generał pisał list osobiście.

– Tak – rzekł powoli.

Wręczyła mu małą kopertę. Otworzył. Był to rozkład dnia Karamazowa, łącznie z miejscami pobytu.

– W porządku – rzekł Rourke. Złożył papier i umieścił w kieszeni na piersiach koszuli.

– Generał powiedział, że jeśli odpowiedź będzie brzmiała „tak”, mam panu życzyć powodzenia.

Rozdział XXXVI

Władimir Karamazow otworzył oczy i wyjrzał przez balkon w motelu, który był obecnie tymczasową kwaterą oficerów. Było jasno, ale gdy podniósł się z łóżka i odsunął zasłony, ujrzał mgłę. Mgła była nieprzyjemna, przenikliwa. Zamknął okno. Kobieta w łóżku poruszyła się delikatnie i owinęła kocem.

Dlaczego uderzył ją wieczorem? Miała siniak pod lewym okiem. W przeciwieństwie do Natalii, kobieta ta lubiła brutalność. On też. To była ta strona jego natury, którą dopiero w sobie odkrywał. Lubił brutalność bardziej niż seks.

Wszedł do łazienki, oddał mocz i popatrzył na swoją twarz w lustrze. Miał jeszcze ślady po ciosach Natalii, gdy wówczas zdecydowała się bronić. Wrócił do pokoju, spojrzął na blondynkę w łóżku. Co by było, gdyby zabił Natalię? Pokręcił głową, odrzucając tę myśl.

Wrócił do łazienki. Namydlił twarz, zaczął się golić. Pozacinał się w miejscach, gdzie miał zadrapania.

Postanowił dowiedzieć się, co to za eksplozje miały miejsce poprzedniego ranka. W tym czasie był poza miastem, indagował pracowników byłego centrum badawczego, próbując dowiedzieć się o miejsce pobytu Jima Colfaxesa. I tej nocy słyhać było strzały. Nie chciało mu się sprawdzić – był w łóżku z kobietą.

Wyczyścił zęby, uważnie sprawdzając ich stan w lustrze. Obejrzał cztery stalowe zęby z prawej strony na dole. Były nowe i niewygodne. Przed wojną, w swoim kraju, dał sobie zamontować taki stalowy mostek. Tylko rosyjscy dentyści wstawiali metalowe zęby.

Puścił wodę z prysznica. Lubił amerykańskie łazienki. Przez kilka minut stał pod lodowato zimnym strumieniem wody. Kiedy skończył, zaczął zakładać cywilne ubranie: błękitne dżinsy i ciemnoniebieską, bawełnianą koszulę. Zawiesił na ramionach futerał ze swoim „Smith and Wesson”, model 59. Odkąd Natalia wzięła jego mały rewolwer, upodobał sobie ten. Lubił rewolwery.

Włożył wiatrówkę i baseballową czapkę z napisem „Cat”, reklamującą jakiś rodzaj traktora. „Wciąż pragnę wyglądać jak nieprzyjaciel” – pomyślał, uśmiechając się do swego amerykańskiego odbicia w lustrze.

Popatrzył raz jeszcze na kobietę w łóżku, decydując się nie budzić jej. Prawdopodobnie wróci do niej wieczorem.

Zszedł po schodach do restauracji, gdzie zamówił amerykańskie jedzenie: stek, jajka i ziemniaki. Podawali tu też kaszę, ale nie lubił jej, bo wchodziła mu między zęby. W kuchni pracowali Amerykanie. Często zdarzało się, że wsypywali do kaszy piasek, albo kruszone szkło. Wypił trzy

filiżanki kawy, myśląc nad planem dnia. Nałożył czapkę i wyszedł.

Mgła nie ustępowała. Ulicą jechało wolno parę samochodów. Niewiele, bowiem trzeba było mieć zezwolenie na jazdę samochodem i kartki na benzynę. Garstka przygnębionych, zgarbionych ludzi wlokła się ulicą. Nie było miejsc, do których mogliby się spieszyć. Powinien zaproponować Warakowowi, żeby osoby bezproduktywne – niedołążne, w podeszłym wieku – po prostu likwidować. Były przecież tylko ciężarem dla nowego porządku. Wątpił, czy Warakow zaakceptuje tę ideę.

Zatrzymał się i zapalił papierosa. Powinien wyeliminować Warakowa i przejąć po nim władzę. On – Karamazow – pokazałby tym z Politbiura, premierowi, im wszystkim, jak zwyciężony naród może być ujarzmiony i wykorzystany. Ale najpierw, pomyślał, trzeba usunąć Natalię. Może użyje Natalii do zniszczenia jej stryja i wyeliminuje ich oboje? Było wiele kobiet, jak ta blondynka na przykład, które nie uważały się za anioły lub inne okazy. Takie, które sprawiały, że mężczyzna czuł się przy nich władcą, bogiem.

Ruszył chodnikiem w stronę kwatery dowództwa, tak jak każdego ranka. Taki spacer, pomyślał, to dobre ćwiczenie dla mężczyzny.

Rozdział XXXVII

Rourke przyjechał nocą do jaskini. Wziął prysznic, przebrał się i zjadł. Potem naradził się z Paulem, co robić. Gdy sprawdzał i czyścił broń, rozmawiali o liście Warakowa i obietnicy, jaką kiedyś dał Natalii – żeby oszczędzić jej męża.

Nie lubił roli skrytobójcy. Pomyślał, że jeżeli Karamazow nie umrze, a dowie się o spisku, z pewnością zechce zemścić się, i to na nim i na Natalii. Wiedział, że Karamazow jest szalony, a poza tym bezwzględny i okrutny.

Jadąc w porannej mgle ze świeżo oczyszczoną, sprawdzoną i naładowaną bronią – już wiedział, co zrobi.

Widząc Karamazowa, zsiadł z motoru. Odpiął skórzaną kurtkę i wyciągnął pistolet. Podwinął rękawy do łokcia. Karamazow nie zauważył go jeszcze. Rourke ufał Warakowowi, że w pobliżu nie będzie rosyjskich patroli. Wyjął z kieszonki cygaro, zapalił. Błysnął niebiesko-żółty płomyk zapalniczki. Ruszył ulicą, stukając nieco wojskowymi butami.

Zdjął słoneczne okulary i schował je do kieszeni. Mgła spowodowała jednak, że zmienił zdanie i nałożył je z powrotem. Zrobił parę kroków i zatrzymał się znowu.

Karamazow dostrzegł go.

Rozdział XXXVIII

Paul Rubenstein leżał na dachu restauracji z karabinem Steyr-Mannlicher w rękach, patrzył przez teleskop.

Rourke przewidywał, że Warakow wyśle snajpera, żeby zabił go po tym, gdy on zabije Karamazowa. Paul uśmiechnął się. Pomyślał, że chociaż raz John nie będzie miał racji. Ujrzał go, zatrzymującego się na ulicy, w odległości 20 m od Karamazowa. Pojedynek na pistolety! To szaleństwo, pomyślał Paul. Widział, jak obaj mężczyźni rozglądali się wokół. Patrzyli, czy nikt im nie przeszkodzi, stając na linii strzału, Paul chciał zabić Karamazowa; po prostu nacisnąć spust i zobaczyć, jak tamten pada. Ustawił teleskop. Współrzędne krzyżowały się na głowie Rosjanina. Wczoraj wydawało się to Paulowi takie łatwe, teraz spociły mu się ręce.

– Do diabła! – przeklął. Chciał być w porządku wobec Rourke’a. Zawsze chciał być fair.

Zapotniały mu okulary. A może Rourke nie jest taki niezwyciężony, jak zawsze uważał?

– Do cholery! – szepnął do siebie, patrząc dookoła, czy nie ma gdzieś snajperów.

Rozdział XXXIX

- Czy tu będzie dobrze? – zapytał szeptem Rourke.
 - Na co? Czy zamierzasz powiedzieć mi, jak wspaniała była w łóżku moja żona?
 - Nigdy nie widzieliśmy łóżka. Mówiłem ci – nic się między nami nie wydarzyło.
 - Więc dlaczego tutaj jesteś?
 - Długa historia – Rourke obserwował go uważnie. – Idź po broń, jeśli nie masz. Poczekać.
 - W porządku – mruknął Karamazow, zdejmując wiatrówkę. Rzucił ją na chodnik i poprawił baseballową czapkę.
 - Broń? Nigdy nie brałem udziału w westernowym pojedynku.
 - Nie sądzę, abyś miał jeszcze okazję.
 - Jestem wzruszony, Rourke. Wiem już, dlaczego Natalia ma tak wysokie mniemanie o tobie. Spiskujecie ze sobą. Chcecie mnie zabić.
 - Jeśli o to chodzi – Rourke rzekł cicho – ona nic o tym nie wie. Nawet obiecałem jej kiedyś, że ciebie nie zabiję.
 - Amerykański głupiec! Czy ktoś rzuci chusteczkę?
 - Tak jest tylko na filmach – odpowiedział Rourke.
- Karamazow przesunął się w lewo, w stronę jezdni. Rourke zrobił to samo, patrząc wciąż w oczy przeciwnika. Nagle Karamazow prawą ręką sięgnął do futerału, gdzie spoczywała jego broń. Dało się słyszeć ciche trzaśnięcie i lufa rewolweru skierowała się w stronę Rourke'a. Ten był jednak szybszy. Błyskawicznie wyciągnięty przez niego pistolet Detonics plunął ogniem. Rosjanin drgnął, zachwiał się i upadł.
- Rourke schował broń. Podeszedł powoli, odwrócił ciało Karamazowa i palcami zamknął mu powieki.
- Zrobione – wyszeptał.

Rozdział XL

Ucieczka z miasta okazała się niespodziewanie łatwa. Warakow rzeczywiście dotrzymał słowa. Nie wierzyli jednak, że Korciński wypuści resztę ludzi z Ruchu Oporu. Pędząc na motorze, Rourke myślał w jaki sposób może im pomóc. Paul jechał obok na swojej maszynie i krzyczał coś ponad hukiem motorów.

Rourke popatrzył na Rubinsteina, próbując zrozumieć, co młody człowiek usiłuje mu powiedzieć.
– Dokąd jedziemy? – dosłyszał w końcu.

Rourke uśmiechnął się. Szybkościomierz motocykla wskazywał powyżej siedemdziesięciu mil na godzinę.

– Na spotkanie! – krzyknął, a widząc zdumiony wzrok Paula, powtórzył głośniejszym głosem:
– Na spotkanie!!!

Mgła podnosiła się. Była już prawie dziewiąta rano. Wszelkie egzekucje odbywały się zwykle wcześniej rano.

– Szybciej! – krzyknął Rourke i dodał gazu.

Po pewnym czasie gwałtownie przyhamował i skręcił w zwirową drogę prowadzącą na polanę, gdzie, jak przypuszczał, byli wciąż przetrzymywani ludzie z Ruchu Oporu. Miał nadzieję, że Korciński nie bierze pod uwagę tego, że Rourke może odważyć się wrócić po uwięzionych. Jego szansę, nawet razem z Rubensteinem, były minimalne. Zatrzymał się na drodze prowadzącej do lasu. Rubenstein podjechał i zatrzymał się obok niego.

– Dokąd, John?

– Przed siebie. Ze dwie mile pojedziemy lasem, zbyt dużo Rosjan jest na drogach.

– Czy mamy szansę? Rourke uśmiechnął się.

– Gdybyśmy jej nie mieli, nie byłoby nas tutaj. Rourke ruszył, wolniej już, z powodu wybojów na drodze. Jeszcze raz przeanalizował w myślach szczegóły planu – to jedyny możliwy sposób, jedyna szansa. Jeśli Rosjanie nie wyśledzą ich, zanim obydwoj dojadą do polany, to poczekają na moment, gdy ludzie z Ruchu Oporu będą prowadzeni na miejsce egzekucji. Przypomniał sobie masakrę polskich oficerów w czasie II wojny światowej, w katyńskim lesie. Rosjanie użyli wtedy niemieckiej broni, żeby zrzucić odpowiedzialność za masowe morderstwo na Niemców. Po latach jakiś dociekliwy badacz odkrył prawdę. Być może Korciński spróbuje użyć amerykańskiej broni, by upozorować, że ludzie ci pozabijali się wzajemnie w walce.

Jechał najszybciej jak mógł, często spoglądając na zegarek. Zastanawiał się, czy zdąży, czy zakładnicy jeszcze żyją.

Po kilku minutach zwolnił, sygnalizując ręką Paulowi, żeby zrobił to samo. Stał i spojrzał na

Paula.

– Jesteśmy jakieś pół kilometra od celu. Zsiedli z motorów i schowali się w zaroślach. Paul zapytał:

– Bierzemy broń?

Rourke przygotował colta CAR-15, odbezpieczył go. Karabin zawiesił na prawym ramieniu. Ruszyli.

Powietrze było chłodne i wilgotne. Opary mgły utrzymywały się jeszcze w cieniu drzew, nisko nad ziemią.

Szli ostrożnie, przedzierając się przez kolczaste krzaki.

Po przejściu około połowy drogi Rourke stanął i zatrzymał skinieniem ręki Paula. Przyłożył palec do ust i pochyliwszy się nieco do przodu, ruszył dalej. Po następnych kilkunastu metrach zatrzymał się znowu. Słyszał już teraz odległe głosy. Po chwili słyszał je wyraźniej, ale wciąż nie mógł rozróżnić słów.

Zatrzymali się w gęstych krzakach. Nasłuchiwali. Słysząc było wydawane rozkazy. Rourke'owi wydawało się, że rozpoznaje głos Korcińskiego. Rzucili się na ziemię i dalej posuwali się na łokciach i kolanach, starając się nie złamać żadnej suchej gałązki. Byli blisko Rosjan i taka nieostrożność kosztowałaby ich życie. John dał znowu znak, żeby się zatrzymać. Przed nimi stał, odwrócony tyłem, człowiek w mundurze Armii Czerwonej.

Rourke oddał Paulowi pistolet i wyjął nóż. Poczłogał się dalej sam. Po chwili widział już wyraźnie wartownika. Amerykanin był poniżej linii jego wzroku. Upewniwszy się, że żołnierz jeszcze go nie dostrzegł, podniósł się ostrożnie, rozglądając się, czy nie ma w pobliżu innych wartowników. Jeden człowiek stał na odległym krańcu polany. Inny – daleko, przy samochodach. Parkował tam również służbowy wóz Korcińskiego.

Rourke słyszał ostry głos pułkownika wydającego rozkazy po rosyjsku. Zauważył jeszcze czterech wartowników, daleko, po prawej stronie, przy dwóch wielkich namiotach, w których mieszkali żołnierze.

Dostrzegł poruszenie na polanie. Rosjanie narzekali na coś mruklawie i sprawdzali broń. Zbliżała się egzekucja.

Rourke przysunął się do wartownika na odległość około dwu metrów. Nagłym ruchem ciała przewrócił rosnącego żołnierza na ziemię i pociągnął mu nożem po gardle, przecinając struny głosowe. Młody Rosjanin wytrzeszczył oczy z przerażenia i bólu. Następny cios, prosto w serce, był już śmiertelny.

Rourke odciągnął ciało w krzaki, po czym machnął ręką do Paula, by ten podczołgał się do niego. Teraz, gdy wyeliminował wartownika, miał dobry widok na polanę. Widział z tuzin Rosjan. Żołnierze stali w rzędzie z bronią w rękach – była to kolekcja rozmaitych pistoletów i karabinów amerykańskiego Ruchu Oporu. Rourke był już pewien, że jego przypuszczenia dotyczące sposobu przeprowadzenia egzekucji były słuszne.

Zobaczył Reeda, Fulsoma, Balla i pozostałych, którzy ocaleli z zasadzki poprzedniej nocy. Szli od strony ciężarówek. W tej samej chwili dołączył do niego zdyszany Paul. Rourke położył palec na ustach, wyciągnął rękę i wskazał mu linię sosen. Paul tylko skinął głową. Rourke wyjął CAR-15. Zdjął pokrywę teleskopu i, zgięty wpół, ruszył w kierunku sosen. Dobięął do drzew i rozłożył się na ziemi.

W tej samej chwili usłyszał komendę skierowaną do plutonu egzekucyjnego, a potem szcęk

broni. Pomiędzy drzewami widział strażników, którzy prowadzili jeńców. Rozpoznał Korcińskiego: stał w rozpiętym płaszczu, z laseczką.

– Cel! – krzyknął jakiś oficer.

Rourke spojrział przez teleskop. Ustawił go na rękę Korcińskiego, trzymającą laseczkę. Wrzasnął:

– Reed, Fulsom, Ball, padnij!

Wystrzelił i trafił w laskę. Teraz skierował broń w głowę Korcińskiego. Paul eliminował tymczasem żołnierzy z plutonu egzekucyjnego. Niektórzy z nich próbowali uciekać, niektórzy strzelali na oślep.

Rourke wystrzelił ponownie, tym razem kula przedziurawiła czapkę Korcińskiego i zdmuchnęła mu ją z głowy.

– Następnym razem zabiję cię! Każ przerwać ogień! – krzyknął w kierunku oficera.

– Przerwać ogień! Natychmiast! Przerwać ogień! Zaczął wykrzykiwać przerażony Korciński.

Wystrzały umilkły. Rourke, wciąż trzymając Rosjanina na muszce, zawołał:

– Reed! Reed i reszta! Rozbroić ich! Natychmiast! Zdał sobie sprawę, że huk strzałów mógł przyciągnąć więcej nieprzyjaciół.

– Pośpieszcie się! – krzyknął Rourke ochrypłym głosem. Ruszył wolno w kierunku Korcińskiego, cały czas do niego mierząc.

– Korciński – powiedział po rosyjsku – powiedz swoim ludziom, że jeśli jacyś bohaterowie zaczną strzelać, ty umrzesz pierwszy. Dostaniesz kulę prosto w łeb!

Korciński krzyknął do swoich ludzi:

– Zróbcie tak, jak on każe!

Rourke stanął trzy metry od Rosjanina; opuścił broń niżej, celując w jego brzuch.

– W porządku. Ustawmy ich wszystkich w rzędzie i uciekajmy stąd!

– Zabić ich! – krzyknął Darren Ball.

Rourke spojrział na niego. Ball podniósł pistolet i już miał zastrzelić najbliższego żołnierza, gdy Rourke wytrącił mu broń. Potem przełożył CAR-15 do lewej ręki i wyszarpnął z futerału colta, model Metalifed Government. Patrząc to na Balla, to na Korcińskiego.

– Co, do diabła, chcesz zrobić? – zdenerwował się Ball.

– Miałeś zamiar zabić tego człowieka.

– No to co, do cholery?

– Morderstwo jest morderstwem, niezależnie od tego czy ty je popełniasz, czy tamci. Spróbuj tylko jeszcze raz skierować broń na kogoś, a zabiję cię, przysięgam.

– Dobroczynca! – zakpił Ball – cholerny dobroczynca!

Rourke patrzył prosto w oczy Balla. Chciał, żeby ten spór już się skończył.

– No dobrze – Ball opuścił broń. – Słyszałem, co zrobiłeś z Karamazowem.

Korciński odezwał się po angielsku:

– Dziwne zachowanie jak na najemnego mordercę.

Rourke odwrócił głowę i zawołał:

– Wy wszyscy! Rozdzielcie się na małe grupki i uciekajcie przez las! Reed, ty i twoi ludzie chodźcie do mnie! Fulsom też!

Potem zwrócił się do Balla:

– Ty, Darren, weź samochód i pięciu ludzi ze sobą.

– Do zobaczenia – rzekł eksnajemnik.

– Do zobaczenia – odpowiedział Rourke. Ball pokuśtykał w stronę stojących na drugim końcu polany samochodów.

Ludzie z Ruchu Oporu zaczęli się rozchodzić. Rourke polecił Rubensteinowi pilnować Korcińskiego, a sam pomógł Reedowi i jego ludziom załadować rosyjską broń na ciężarówkę. Gdy zabrali już wszystko, Rourke zwrócił się do Fulsoma.

– No, to macie przynajmniej trochę broni. Zawsze wam tego brakowało.

– Czy zdrajca był wśród nas? – zapytał Fulsom.

– Nie, myślę, że gdzieś wyżej – odparł Rourke, popatrzył na Reeda i mówił dalej:

– Ludzie kapitana Reeda przekazywali przez radio informacje o naszych posunięciach. Myślę, że to może być ktoś z Teksasu.

– Nie, Rourke, to niemożliwe. Nadawałem bezpośrednio do głównej kwatery dowództwa. Tylko ludzie na górze wiedzą...

– Więc to musi być ktoś z dowództwa – rzekł stanowczo Rourke. Świadczy o tym również sprawna i dobrze przygotowana akcja uprowadzenia Chambersa.

– Sądziś, że Karamazow miał kogoś, gdy zastrzelił tego pilota?

– Tak! Warakow musi jeszcze go mieć, bo jak inaczej przyskrzyniliby nas ostatniej nocy? Jest jeden prosty sposób, żeby się dowiedzieć – zwrócił się do Fulsoma. – Gdzie może być teraz Jim Colfax?

– W górach, blisko miejscowości Helen, w Georgii. Ma tam domek letniskowy, który odziedziczył po zmarłym bracie. Jeden z moich ludzi widział go tam. Poznał go.

– Gdzie dokładnie?

– Narysuję ci plan. I dzięki, Rourke, za wszystko. Będziemy szukać twojej rodziny. W jaki sposób przekazać ci wiadomość?

– Skontaktuj się z Wywiadem Wojskowym, a ja skontaktuję się z nimi – rzekł do Fulsoma.

– A co ze zdrajcą? – zapytał Reed.

– Będziemy wiedzieli na pewno po dzisiejszym dniu. Helen jest o dwie godziny drogi stąd. Jeździłem tam parę razy z Sarah i z dziećmi. Piękne miejsce. Przekaż do dowództwa, że dojedziesz tam za trzy godziny. Rosjanie nie przepuszczą okazji, żeby dostać Colfaksa i nas jednocześnie. Na pewno będą chcieli urządzić zasadzkę, ale my będziemy tam godzinę wcześniej.

– Czy wystarczy nam czasu? – spytał Reed.

– Zaraz wyruszamy z Paulem. Nasze motory są dostatecznie szybkie. Każ Fulsomowi narysować taki sam plan, jaki zrobił dla mnie. Pojedziesz za nami samochodem. Niech Fulsom wskaże ci jakieś boczne drogi. Spotkamy się tam, u Colfaksa. Pozostaw ze dwóch ludzi w pewnej odległości, żeby mogli nas ostrzec, gdy zaczną nadjeżdżać Rosjanie.

– Rourke?

– Tak?

– Zapomnij o naszej kłótni. Mam wobec ciebie dług wdzięczności...

– Daj spokój – uśmiechnął się Rourke, odchodząc w kierunku Rubensteina.

Rozdział XLI

Rourke i Rubenstein wyprowadzili motory na drogę – Jedziemy znowu w góry? – zapytał Paul.

– Tak, po kosmonautę Colfaxa. Rosjanie przyjdą tam również; prawdopodobnie użyją helikopterów, może być strzelanina – wyjaśnił Rourke.

– Więc mogę się przydać? – roześmiał się Rubenstein.

Rourke klepnął go w ramię.

– Jesteś dobrym przyjacielem, Paul – rzekł cicho, odwrócił się i wsiadł na swego Harleya.

Mżawka zmieniła się w silny, ulewny deszcz. Rourke i Rubenstein jechali obok siebie; strumienie wody rozpryskiwały się pod kołami ich maszyn. Wkrótce byli całkiem przemoczeni i musieli zmniejszyć prędkość. Gdy skręcili z autostrady na boczną drogę, którą zaznaczył Fulsom, Rourke spojrzął na zegarek. Od wyjazdu z lasu upłynęło dwie i pół godziny.

„Dom Colfaxa powinien być przy końcu tej drogi” – pomyślał Rourke.

– Wokół domu jest las i nie ma odpowiedniego miejsca do lądowania helikopterów. Chcę mieć Colfaxa żywego, żeby zdobyć informacje o „Projekcie Eden”. Rosjanie chcą tego samego. To mi daje pewną przewagę.

Jechali teraz wolno. Rowy po obu stronach drogi były pełne wody, która nabrała krwistoczerwonej barwy od gliniastego podłoża. Przy końcu drogi znajdował się zwirowy podjazd. Skręcili w prawo. Dom Colfaxa wyglądał, jak gdyby został przeniesiony wprost z Alp Bawarskich. Przypominał nieco swą konstrukcją zegar z kukułką. Na piętrze był balkon na całą szerokość domu. Okna miały okiennice, a nad gankiem widniały tandetnie, jaskrawo pomalowane ornamenty.

Rourke zatrzymał motocykl parę metrów przed domem, zgasił silnik, zsiadł. Woda ciekła mu po plecach. Odgarnął mokre włosy z czoła i poszedł w stronę ganku, patrząc w okna. Zachrząścił żwir – to Paul szedł za nim.

– Obejdz dom. Nie chce, żeby Colfax nas wykiwał – rzucił Rourke.

Paul skinął głową. Jego włosy przykleiły się do czoła. Rourke wszedł na ganek. Deszcz dudnił o dach, a woda szumiała w rynnach jak w potoku.

Wsunął rękę do kieszeni, wyjął portfel, a z niego kartę CIA w plastikowej oprawie. Poszukał dzwonek. Nie znalazł, więc uderzył pięścią w drzwi.

– Nazywam się Rourke – zawołał dość głośno – jestem z amerykańskiego wywiadu. Mam w ręku kartę CIA – i wyciągnął rękę z kartą w stronę zasłoniętych firankami okien, na wypadek gdyby Colfax wyglądał przez szczelinę.

– Jimie Colfax! Jestem tutaj, żeby ci pomóc! – krzyknął.

Usłyszał głos Paula. Spojrzął w jego kierunku. Rubenstein wskazywał na rząd sosen za domem.

– Czy Colfax to siwowłosy facet, bardzo krótko obcięty?

– Tak, chyba tak.

– Widziałem go. Musiał usłyszeć, jak nadjeżdżamy i uciekł. Mówiłeś, że ma chore serce?

– Tak – odparł Rourke.

– Pośpieszmy się więc i zatrzymajmy go. Widziałem, że biegł, trzymając się za serce.

– Mój Boże! – krzyknął Rourke i rzucił się w stronę drzew.

Dopadł sosen i zatrzymał się. Okręcił się wokół pnia, wpatrując się w las. Dostrzegł jakiś ruch, potem wyraźnie już widział siwowłosego mężczyznę, wspinającego się po zboczu, między sosnami.

– Colfax! – zawołał głośno przez szum ulewy – Colfax! Jestem Amerykaninem. Nie chcę cię skrzywdzić! Chcę ci pomóc!

Mężczyzna zaczął uciekać jeszcze szybciej. Rourke odwrócił się. Paul nadjeżdżał na motorze.

– Paul! Jedź na wzgórze! – krzyknął i zaczął biec między drzewami. Potykał się i ślizgał w błocie, z trudem łapiąc równowagę. Paul tymczasem jechał zygzakiem do góry, próbując przeciąć Colfaxowi drogę.

– Colfax! Poczekaj, człowieku! – krzyczał Rourke. Cały czas widział przebłyskującą między drzewami jego białą głowę. Colfax parł uparcie do przodu.

– Poczekaj, Colfax!

Colfax odwrócił się na moment i pobiegł znowu. Rourke zobaczył, jak raptem potknął się i padł, staczając ze zbocza. Bezwładne ciało zatrzymało się natrafiając na pień drzewa.

– Tam! – krzyknął Rourke do Rubensteina, wskazując ręką.

Podbiegł do Colfaksa i klęknął przy nim, podnosząc jego głowę. Zbadał puls. Był niewyczuwalny.

– „Projekt Eden” – wyszeptał Rourke. Powieki siwowłosego mężczyzny zamknęły się, a jego głowa opadła bezwładnie.

– Czy można coś jeszcze zrobić?

– Nie, Paul. Gdyby był tu blisko szpital lub karetka reanimacyjna, to może jego serce zaczęłoby bić znowu. Umarł, zanim do niego dobiegłem. Powieki poruszyły się jeszcze, gdy podniosłem mu głowę.

– A więc czym jest „Projekt Eden”, John? Rourke wstał, wpatrując się w szare niebo. Woda ciekła mu po twarzy. Po chwili odwrócił się w stronę motorów.

– Rosjanie go pochowają – powiedział. – Nie przejmuj się, Paul. Może to nie jest broń masowej zagłady, ani w ogóle żadna broń. Kto wie, może „Projekt Eden” jest czymś, co przyniesie korzyści? Kto wie – powtórzył. Wymuszony uśmiech pojawił się na jego twarzy. Ostatni człowiek, który znał ten projekt, już nie żył.

Rozdział XLII

O trzeciej po południu pojawili się Rosjanie. Przetrzęsnęli dom i przeszukali las. Rourke i Rubenstein zrobili to wcześniej, po czym schowali się razem z Reedem w skalnej szczelinie. Nadlatywały sowieckie helikoptery.

– Chyba powinienem ci coś powiedzieć – rzekł Reed.

– Rourke spojrzał na niego. Pochylił się, nie myśląc już o Rosjanach. Zapalił cygaro, próbując strząsnąć z ubrania krople wody.

– Co mi chcesz powiedzieć?

– To Fulsom. Użyliśmy mojego radia. Fulsom chciał coś dla ciebie zrobić. Nawiązaliśmy kontakt z Ruchem Oporu w Tennessee. Nie chciał ci powiedzieć wcześniej, żeby nie robić złudnych nadziei. Dostał wiadomość zeszłego wieczoru, przed akcją.

Otóż jeden facet ma farmę, a jego żona jest ciotką jedynej osoby z rodziny Jenkinsów, która przeżyła. Facet jest emerytowanym sierżantem. Jego syn, który właśnie przyłączył się do Ruchu Oporu, został ranny zeszłej nocy. Od niego wiemy, że Sarah i twoje dzieci są na jego farmie. Przebywają tam od kilku dni.

Rourke wstał, cygaro wypadło mu z ust.

– Gdzie? – pytał, chwytając go za kołnierz.

– Tu – Reed podał mu zabrudzoną, pogiętą mapę Tennessee. – Tu jest zaznaczone, blisko miejsca zwanego Mt. Eagle, w górach.

Rourke rozłożył mapę.

– Ach, tak, Mt. Eagle, znam to miejsce.

– Dzięki Bogu, John.

– Reed! Czy możesz podziękować Fulsomowi ode mnie?

– Zobaczę się z nim. Na wszelki wypadek zostawiam Paulowi radio i trochę części zapasowych. Skontaktujcie się z nami, częstotliwość jest już ustalona.

– Tak – rzekł Rourke. Stał i patrzył na dół. Rosyjskie wojska zbierały się do odjazdu, paru ludzi wynosiło z lasu ciało Colfaxa w plastikowym worku.

– Wygląda na to, że zrobią mu przyzwoity pogrzeb.

– John, oni może myślą, że myśmy zdążyli porozmawiać z Colfaxem przed jego śmiercią. Rosjanie będą teraz poszukiwać ciebie. Chcą się przecież dowiedzieć, czego dotyczy „Projekt Eden”. Może nawet bardziej niż my. I miałeś rację co do zdrajcy. Wygląda na to, że jest to któryś z doradców Chambersa.

Rourke skinął głową. Uścisnęli sobie ręce.

– Do zobaczenia, kapitanie. Pożegnaj ode mnie swoich ludzi, dobrze? – powiedział. Po chwili zwrócił się do Paula – Sarah ugotuje ci najlepszą na świecie kolację. Jadę po nich. Zobaczymy się w jaskini.

– Jasne, John. A jeśli ich tam nie znajdziesz, to...

– Znajdę – rzekł Rourke uśmiechając się – na pewno.

Rozdział XLIII

Było już ciemno, gdy Rourke skręcił z autostrady w stronę górskiej przełęczy. Objechał rosyjską blokadę drogi, po czym powrócił znów na autostradę.

Farma, gdzie przebywała Sarah, znajdowała się mniej niż dwadzieścia mil stąd.

Minął wiejski dom z rozwalonym płotem i spalonym dachem. Dalej były już tylko gęste lasy. Jechał wciąż w górę. Wreszcie ujrzał w ciemności żółte światło.

Sarah. Pamiętał, jak kochali się ostatni raz. To było przed jego wyjazdem do Kanady, parę dni przed wojną. Pamiętał szarozielone oczy Sarah, zapach jej ciemnych włosów. Popatrzył na bezgwiezdne niebo. Deszcz zalewał mu twarz. Przypomniawszy sobie, jak całowali się kiedyś w deszczu.

Michael. Jest już taki dorosły, chociaż ma zaledwie sześć lat. Połączenie tego, co najlepsze z niego i z Sarah. Mała Ann, czteroletnia, śliczna, w jednej chwili skłonna i do nagłych łez, i do rozkosznego śmiechu.

Rourke wyrzucił niedopałek cygara, ustawił motor w kierunku światła i ruszył ścieżką między drzewami. Deszcz padał coraz mocniej.

Zatrzymał motor, zsiadł. Przez grząskie błoto dotarł do małego ganku. Światło paliło się w kuchni. Na pewno mają własny generator – pomyślał odruchowo.

Zaszczekał pies. Rourke zbliżył się do drzwi i zapukał. Drzwi otworzyły się po chwili, a światło zalało ganek. Rudowłosy kilkunastolatek stanął z pistoletem wycelowanym wprost w niego.

– Spokojnie, synu – wyszeptał Rourke. Zobaczył kobietę z tyłu, za chłopcem.

– Jestem John Rourke. Czy pani nazywa się Mary? Kobieta skinęła głową.

– Czy moja żona Sarah i moje dzieci są tutaj? Przyjechałem po nich.

– O, mój Boże! – rzekła kobieta. Łzy napłynęły jej do oczu. – Niepokoiła się o pana. Mówiłam jej, żeby została, albo przynajmniej zostawiła dzieci. Tyle zrobiła dla mojej siostrzenicy.

– Gdzie oni są? – wyszeptał Rourke. Wpatrywał się badawczo w kobietę. Coś ścisnęło go w gardle.

– Pojechała szukać pana. Z powrotem do Georgii. Wyjechała dziś rano.

– Konno?

– Tak. Pojechała na jednym koniu, dzieci na drugim, trzeci załadowany był rzeczami.

– Czy ma broń?

– Tak, pistolet i karabin – odezwał się chłopiec.

– Czy są zdrowi? Nikt z nich nie odniósł żadnych obrażeń – zadawał pytania, jakby wypełniał formularz.

– Są zupełnie zdrowi.

– Pojechali w kierunku Georgii? – zapytał Rourke. – Którą drogą?

– Pojechali starą szosą wzdłuż autostrady. Zna ją pan? – zapytał rudowłosy chłopak.

– Tak. Dziękuję wam bardzo. Gdyby Sarah wróciła, zatrzymajcie ją. A ty – zwrócił się do chłopca – jeśli dowiesz się, gdzie ona jest lub gdzie przebywała ostatnio, powiadom Ruch Oporu. Oni skontaktują się z wywiadem w Teksasie.

– Dobrze, proszę pana.

– Dobranoc pani – powiedział Rourke. Uścisnęli sobie ręce.

– Niech pana Bóg błogosławi i pozwoli znaleźć ich jak najszybciej.

– Dziękuję pani – rzekł i spróbował się uśmiechnąć. Zszedł z ganku i stanął przy motocyklu.

Sarah odjechała tego ranka. Rourke padł na kolana w błocie obok motoru.

– Dlaczego? – Popatrzył w chmurne niebo. Nagle uświadomił sobie, że płacze. Wsiadł na motocykl, przez chwilę jechał wolno błotnistą koleiną, potem wyjechał z zagrody na polną drogę. Przyśpieszył. Popatrzył na strugi deszczu widoczne w świetle pojedynczego reflektora.

„Dlaczego?” – wciąż powtarzał w myśli.